Strona 8

Media społecznościowe to broń wojenna

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

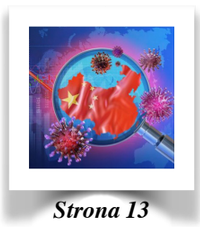

Strona 13

Chińczycy nie chcą kredytów

17 czerwca 2022 - Warszawa – Polska | *www.nowyswiat24.com.pl* | *Numer 9(21)/2022*

Rolnictwo w cieniu agresji na Ukrainę

Trzeba stawiać na własny przemysł spożywczy i własne marki

Jeszcze nie tak dawno temu jednym z głównych haseł była globalizacja. Jednak pandemia, a teraz wojna w Ukrainie pokazują, że nie jest to bezpieczne i równie opłacalne dla każdego kraju. Rynek spożywczy bezpośrednio wpływa na koszt żywności i dochody rolników, a to ma w Polsce duże znaczenie. Jak zatem zbudować nowe i wykorzystać obecne nasze przewagi w krajowej produkcji artykułów spożywczych oraz ich eksportu?

Politykę każdego kraju dotyczącą rolnictwa i przemysłu rolnego można rozpatrywać z kilku perspektyw. Podstawą jest zapewnienie obywatelom dostępu do większości podstawowych produktów po cenach akceptowalnych społecznie. Kolejna to tworzenie warunków do opłacalnego eksportu towarów rolno-spożywczych. Tu dotykamy też zagrożeń związanych z tzw. pułapką średniego dochodu (midle income trap), czasem określanej jako pułapka średniego rozwoju.

W ekonomii pojęcie to po raz pierwszy opisali w 2006 r. Indermita Gilla i Homi Kharasa, ekonomiści Banku Światowego. Zauważyli, że początkowo szybko rozwijające się gospodarki, po uzyskaniu pewnego poziomu rozwoju, wyraźnie zwalniają. Choć obserwacje dotyczyły krajów azjatyckich, to okazało się, że jest to szersze zjawisko. Nie da się utrzymać wzrostu w dłuższym okresie, korzystając z dochodów z eksportu, jeśli jest on możliwy głównie dzięki taniej sile roboczej i sprzedaży nieprzetworzonych surowców. W branży rolnej, w Polsce też widzimy symptomy takiego zjawiska.

Czy sprzedajemy produkty wysoko przetworzone?

Polski eksport towarów rolno-spożywczych w I kw. 2022 r. osiągnął wartość 10,2 mld euro. To o ponad 16 proc. więcej niż tym samym okresie w roku ubiegłym. Polskie produkty trafiły głównie do odbiorców w krajach UE. Jak podała w maju PAP na podstawie informacji z Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa w strukturze naszego eksportu, dominowało mięso. Odczytując te dane, trzeba pamiętać, że kurs złotego w stosunku do głównych walut jest dziś znacznie słabszy. Jednak należy się cieszyć, że nasza żywność jest ceniona i chętnie kupowana.

Ciąg dalszy na stronie 2

Walka o prawa do emisji CO2

Prawa do emisji dwutlenku węgla miały być jednym z narzędzi pozwalających osiągnąć neutralność klimatyczną. Wdrożyła je Unia Europejska oraz amerykański stan Kalifornia. Po rosyjskim ataku na Ukrainę kwestia praw do emisji CO2 ponownie stanęła w centrum uwagi, budząc coraz większe kontrowersje – zauważa hiszpański portal Expansión

Powodem ponownego zainteresowania kwestią praw do emisji dwutlenku węgla stał się niedawno opublikowany przez Komisję Europejską dokument „REpower EU framework to decouplection Russian energy sources in the green transition" oraz propozycja, by uruchomić środki finansowe ze sprzedaży praw do emisji CO2, które do tej pory były przechowywane w Rynkowej Rezerwie Stabilizacyjnej (MSR).
Już w lutym poseł Parlamentu Europejskiego Peter Liese sugerował, że uwolnienie części pozwoleń zatrzymanych na rynku emisji CO2 będzie dobrym rozwiązaniem w sytuacji, gdy cena za prawa do emisji przekroczy pewien pułap.
Cena prawa do emisji dwutlenku węgla osiągnęła rekordowy poziom, sięgając niemal 100 euro za tonę. Wpłynęły na to dwa czynniki: dążenie Unii Europejskiej do ograniczenia emisji o połowę przed 2030 r. oraz zmniejszenie dostaw gazu ziemnego powiązane z wojną w Ukrainie. Możliwość wydania większej liczby pozwoleń sprawiła, że ceny emisji początkowo spadły, jednak szybko ponownie wzrosły.
Obecnie są bardzo niestabilne.

Ciąg dalszy na stronie 3

Niemcy zmodernizują armię

Niemiecki rząd zatwierdził zwiększenie wydatków na obronność

Skala dozbrojenia Bundeswehry jest najwyższa od czasów II wojny światowej. Punktem zwrotnym dla zmian budżetowych, które wymagały także modernizacji niemieckiej konstytucji, była oczywiście inwazja Rosji na Ukrainę – informuje hiszpański dziennik „La Razón".
Niemiecki parlament przegłosował zmianę konstytucji pozwalającą utworzyć fundusz w wysokości 100 mld euro, który zostanie przeznaczony na modernizację armii. W ten sposób wydatki na obronność w Niemczech wzrosną do 2 proc. PKB. Zmiany przeforsowane przez nowego kanclerza Olafa Scholza wydawały się niemożliwe jeszcze kilka lat temu. Jeśli Niemcom uda się zrealizować plan zbrojeń, staną się one największą siłą militarną w Europie i trzecią – po Chinach i Stanach Zjednoczonych – na świecie.
Kanclerz Scholz obiecał dostarczyć na Ukrainę nowoczesny system obrony powietrznej IRIS-T. Dzięki niemu ukraińskie miasta będą lepiej chronione przed rosyjskimi atakami lotniczymi. Jednocześnie Scholz przyznał, że Bundeswehra od ponad dekady jest niedofinansowana. Wielu niemieckich polityków ostrzegało (zwłaszcza po wybuchu rosyjsko-ukraińskiej wojny), że niemiecka armia wymaga daleko idącej modernizacji.

Ciąg dalszy na stronie 3

Dr Janusz Grobicki
Redaktor Naczelny

Ukraina broni się nadal

Agresywna polityka Putina, nazywanego nie bez podstaw Hitlerem XXI wieku jest pod wieloma względami podobna do tej, prowadzonej przez III Rzeszę w 1938 i 1939 roku. Propaganda kremlowska działa na wzór goebbelsowskiej. W oficjalnych przekazach, rozryczane tłumy na wiecach poparcia okazują swą miłość i oddanie idei wodza, a rosyjska armia „wyzwala i denazyfikuje". „Operacja specjalna" to niekończące się pasmo zwycięstw. Czy Rosjanie to kupują? Oczywiście, bo dlaczego miałoby być inaczej, skoro w maju inflacja obniżyła się z 17,8 proc. do 17,5 proc., bezrobocie w Rosji utrzymuje się na rekordowo niskim poziomie – w marcu wynosiło ono zaledwie 4 proc., a od czasu rozpoczęcia wojny na Ukrainie Rosja zarobiła prawie 100 mld euro na eksporcie ropy, węgla i gazu. Z kolei „Kolektywny Zachód" (jak mawiają putinowscy propagandyści) ciągle dyskutuje o tym, jak twardo uderza w moskiewski reżim kolejnymi transzami „bardzo dotkliwych sankcji", jak bardzo popiera bohaterską walkę narodu ukraińskiego oraz jaką broń ma zamiar przekazać w ręce obrońców światowej demokracji i europejskich wartości. Ze źródeł zachodnich dowiadujemy się o tym, że Ukraińcy mają otrzymać trzy niemieckie wyrzutnie MARS II (zamiast obiecanych czterech) wystrzeliwujące rakiety na odległość do 80 km, a super zestawy rakietowe z USA HIMARS, które są w stanie razić skutecznie cele na odległość do 300 km, otrzymają amunicję ograniczającą zasięg do 70 km. Zachód obiecuje, że wyśle na Ukrainę broń „defensywną", śmigłowce oraz środki łączności. Dużo i głośno o tych deklaracjach, choć rzeczywista skala pomocy nie zwala z nóg. Tymczasem ruski satrapa „wprowadził do walki" nowe narzędzie wywierania wpływu na „miękki Zachód" – terror żywnościowy. Do „twardzieli" w europejskich stolicach ma przemówić widmo nadciągających fal głodnych uchodźców z Afryki. Może dlatego, aby pokazać swoją determinację w popieraniu walki z Rosją, do Kijowa wybrali się przywódcy Francji, Niemiec i Włoch (prezydent Rumunii Klaus Iohannis pojawił się tam także, choć dość niespodziewanie)? Sytuacja wokół wojny z Putinem staje się coraz bardziej chaotyczna.

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

17 czerwca 2022 - Warszawa – Polska *www.nowyswiat24.com.pl* *Numer 9(21)/2022*

Rolnictwo w cieniu agresji na Ukrainę

Ciąg dalszy ze strony 1

W 2018 r. World Food Poland informował, że już w latach 2008-2011 produkcja przemysłu spożywczego rosła o 9 proc. rocznie. Pod względem wydajności o 12 proc., podczas gdy reszta UE-15 rosła w tempie 1 proc.. W opracowaniu dotyczącym polskiego sektora przetwórstwa spożywczego przygotowanym przez Biuro Informacji Gospodarczej InfoMonitor wydanym w marcu 2020 r. podano, że produkcja artykułów spożywczych to jeden z najważniejszych sektorów polskiej gospodarki. Odpowiada za ok. 16 proc. produkcji sprzedanej przemysłu i 13 proc. polskiego eksportu za granicę. Generuje prawie 3 proc. wartości dodanej brutto w gospodarce oraz ok. 11 proc. wartości dodanej przemysłu. Branża rosła w tempie kilku procent rocznie.

W okresie styczeń – wrzesień 2019 r. sprzedaż w produkcji artykułów spożywczych była o 3,7 proc. wyższa niż rok wcześniej. Jak stwierdził w powyższym raporcie Andrzej Gantner, wiceprezes i dyrektor generalny Polskiej Federacji Producentów Żywności, problemem branży były w tym czasie były nie tylko wzrastające koszty pracy (przede wszystkim płace minimalne) i nośników energii. Również gwałtowne wahania cen surowców rolnych wywołane warunkami klimatycznymi oraz epidemiami ASF, czy ptasią grypą, przy jednoczesnej dużej presji cenowej ze strony dystrybutorów. Powodowało to, że wiele przedsiębiorstw borykało się ze spadkiem marż. Zwłaszcza, jak stwierdził, było to szczególnie widoczne w największych branżach, takich jak przetwórstwo mięsa, mleka oraz owoców i warzyw.

Dziś wiemy, że wymienione problemy jeszcze się nasiliły. Niestety doszły do nich nowe związane z wojną w Ukrainie i bardzo wysokimi cenami energii. Dobrze o branży świadczy wyraźny wzrost wydajności pracy w produkcji artykułów spożywczych. To wynik zrealizowania wielu inwestycji mających dostosować przedsiębiorstwa do standardów światowych oraz zmniejszyć lukę technologiczną. Jak podano w raporcie, między 2010 a 2017 r. dynamika wzrostu wydajności w produkcji artykułów spożywczych osiągnęła niemal 55 proc., natomiast w przetwórstwie przemysłowym 36 proc. To dobry prognostyk na przyszłość.

Konkurencja

Rośnie konkurencja na rynku przetwórstwa żywności na świecie. W opublikowanym badaniu Verified Market Research (VMR) dotyczącym wielkości i prognozy rynku przetwórstwa spożywczego na świecie do 2028 r. oceniono, że od 2020 r. gdy było to ok. 143,51 mld dolarów, osiągnie on w 2028 r. wartość 235,67 mld dolarów przy średnim rocznym wzroście (CAGR – złożona roczna stopa wzrostu) w latach 2021-28 o 6,6 proc.

Najszybciej ma się rozwijać rynek piekarniczy i cukierniczy, co ma wynikać ze zmian w preferencjach żywieniowych. Analitycy rynku oczekują, że innowacje w technologii przetwarzania żywności, wzrost popytu na taką żywność oraz postęp i rozwój dotyczący maszyn do produkcji w sektorze spożywczym będzie wspierał rozwój rynku.

Z kolei w Polsce, jak podaje agencja Atradius, żywność i napoje to jedna z najsilniejszych branż w naszym kraju. Wytworzona przez nią wartość dodana ma wzrosnąć o ponad 5 proc. w 2022 r. Jednak, jak podano, zwiększone koszty energii wpływają na marże niektórych segmentów (chłodnie, dystrybutorzy żywności, producenci posiłków gotowych do spożycia). Tymczasem producenci i przetwórcy mięsa muszą radzić sobie z wyższymi cenami pasz dla zwierząt.

Polska Agencja Inwestycji i Handlu zwraca uwagę, że od początku lat 90. minionego wieku wiele międzynarodowych firm przemysłu spożywczego takich jak: Danone, Heinz, Unilever, Mondelez i Nestle weszło na polski rynek. Z Polski* wywodzą się też takie znane marki jak Mlekovita, Mlekpol, Maspex (producent soków, nektarów, makaronów i zbóż) i Hortex, producent soków. Poza nimi z Polski pochodzą marki: Wyborowa, Sobieski (wódka), Tymbark (sok), Grycan (lody), Wedel (czekolada), Sokołów i Pudliszki (sosy i keczupy), Kujawski (olej) i Winiary (przyprawy i dania gotowe). Ma to świadczyć o sprzyjającym otoczeniu biznesowym w naszym kraju do lokowania takiej produkcji. Czy rzeczywiście tak jest?

W Ministerstwie Aktywów Państwowych 28 kwietnia tego roku zawarto umowę objęcia przez Skarb Państwa akcji w podwyższonym kapitale zakładowym Krajowej Spółki Cukrowej. Tym samym budowa Krajowej Grupy Spożywczej stała się faktem. W założeniach Grupa stanie się podmiotem, w którym Skarb Państwa będzie miał dominujący charakter i partnerskie podejście do relacji z polskim rolnikiem. Dzięki skali działania Grupa będzie mogła aktywnie brać udział w światowym obrocie handlowym. Jak poinformowano, będzie mogła rozszerzyć kanały dystrybucji i bazy odbiorców na rynku krajowym.

Dystrybucja

Zapewnienie bezpieczeństwa związanego z dostępem do żywności wiąże się z cenami. Te zaś ściśle wiążą się z politykami i strategiami cenowymi prowadzonymi przez sieci handlowe. Jak wynika z raportu CBRE, sektor spożywczy w Polsce rozwijał się stabilnie w ciągu ostatnich lat. Systematyczne notuje wzrosty sprzedaży detalicznej. Niepewność gospodarcza wywołana przez pandemię Covid-19 nie zachwiała rozwojem branży. Sieci spożywcze w Polsce rozwijają się dynamicznie i wprowadzają na rynek nowe formaty sprzedażowe i innowacyjne rozwiązania sprzyjające wygodzie klientów.

Jednak nie wszystko jest tak, jak byśmy chcieli. Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi jako przykład podawał oferowanie bardzo niskich cen za żywiec przez zakłady mięsne hodowcom, wykorzystując sytuację związaną ze zwalczaniem AFS i przy skupie owoców miękkich.

Ostatnio była też mowa o „podrabianiu" truskawek, czyli sprzedaży importowanych jako polskich – bardziej cenionych przez konsumentów. Powstający holding spożywczy ma objąć cały cykl związany z produkcją żywności w tym również jej dystrybucję. Docelowo Polska Grupa Spożywcza ma poprawić bezpieczeństwo żywnościowe naszego kraju.

O czym się mówi?

Jako jedną z przewag polskiej branży rolno-spożywczej wymieniana jest różnorodność dostarczanych produktów i ich jakość. Wynika to z dobrych warunków klimatycznych dla rolnictwa i nowoczesnej bazy przetwórczej. Na konkurencyjność wpływa negatywnie nadal silne rozdrobnienie producentów i handlu. Jest na przykład bardzo dużo małych sklepów sprzedających głównie żywność. Niski poziom koncentracji sektora przetwórczego przekłada się na niską jeszcze nadal efektywność (choć jest coraz lepiej) w stosunku do najbardziej wydajnych pod tym względem gospodarek.

Mięso drobiowe to jeden z najlepiej sprzedających się polskich produktów eksportowych. Jednak tu niska cena wynika nie z większej wydajności. Wpływają na nią niższe koszty pracy i niższe koszty surowca już na poziomie wagi poubojowej. Nie mamy też wielu silnych polskich marek rozpoznawalnych poza krajem i powoduje to konieczność konkurowania tylko ceną. To przekłada się na sytuację, w której tona wyrobów mięsnych eksportowanych z naszego kraju jest nawet o 45 proc. tańsza, niż takich samych eksportowanych z Włoch. W związku z wojną w Ukrainie mówi się też o tworzeniu zapasów strategicznych na przykład rozbudowie powierzchni do magazynowania. To mógłby też być element stabilizacji cen.

„Polskie marki" według kraju pochodzenia kapitału większościowego

Za PolskieMarki.info:

- **Mlekovita** – kapitał polski – 5,6 mld zł
- **SM Mlekpol** – kapitał polski – 4,5 mld zł
- **Maspex** – kapitał polski – 5,2 mld zł

Za WspieramRozwoj.pl:

- **Wedel** – większościowy zagraniczny Szwajcaria
- **Hortex** – Wielka Brytania
- **Wyborowa** – Francja
- **Sobieski** – Francja
- **Tymbark** – kapitał polski (100 proc.)
- **Grycan** – kapitał polski (100 proc.)
- **Kujawski** – Holandia
- **Winiary** – kapitał międzynarodowy
- **Sokołów** – Dania
- **Pudliszki** – USA

Zapewnienie bezpieczeństwa żywnościowego

Wojna w Ukrainie okazała się również wyzwaniem dla rolnictwa z punktu widzenia globalnego. Putin zamierza wykorzystywać trudności z eksportem ukraińskich płodów rolnych jako swoiste narzędzie „terroru żywnościowego" wobec sojuszników Ukrainy. Wielu ekspertów ostrzega przed widmem głodu w biednych krajach, które do tej pory były zaopatrywane w produkty rolnicze pochodzące z Ukrainy. Następstwem może być olbrzymia fala migracji z Afryki do Europy.

Polska oraz inne kraje, które wspierają walkę Ukrainy o niepodległość, starają się rozwiązać problem blokady eksportu ukraińskiego zboża. Nasz kraj może przejąć rolę hubu dla Ukrainy, jednak wymaga to wielu inwestycji oraz olbrzymiego wysiłku organizacyjnego. Potrzebne będą także środki nie tylko pieniężne, ale również i rzeczowe, adekwatne do realizacji takiego projektu.

Jaki plan w związku z zaistniałą sytuacją ma Rząd oraz Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi? Czy Polska może stać się integratorem działań zmierzających do złagodzenia skutków związanych z przerwaniem łańcucha dostaw żywności z Ukrainy? Jaką rolę w tym przedsięwzięciu może odegrać współpraca w ramach Trójmorza? Czy pod wpływem takich działań zostanie przywrócone bezpieczeństwo żywnościowe w Europie i Afryce?

Wyzwania stojące przed polskim i światowym rolnictwem już wkrótce będą przedmiotem specjalnej debaty reakcyjnej. Relację z dyskusji opublikujemy na naszym Portalu.

Bohdan Szafrański

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

17 czerwca 2022 - Warszawa – Polska *Numer 9(21)/2022*

Walka o prawa do emisji CO2

Ciąg dalszy ze strony 1

W jaki sposób regulowane są ceny emisji CO2?

Uprawnienia do emisji dwutlenku węgla – zwykle wyceniane za tonę CO2 – funkcjonują na rynkach pozwalających handlować nimi przedsiębiorcom i inwestorom. Istnieje zarówno rynek regulowany, obowiązkowy, jak i dobrowolny rynek prywatny. System ten jest jednak mało przejrzysty, a spekulacje mogą być jedną z przyczyn wzrostu cen.

Przewodniczący grupie roboczej w Instytucie Badań nad Wpływem Klimatu w Poczdamie Michael Pahle uważa, że garstka handlowców posiada „monopol informacyjny", dzięki któremu mogą przewidywać i wpływać na zmiany cen. Jego zdaniem zapobiec temu może większa przejrzystość systemu i lepsza wymiana informacji.

Wśród proponowanych rozwiązań znalazło się nakładanie limitów pozycji na uczestników rynku, a także wprowadzenie przedziału cenowego. Drugie z tych rozwiązań jest już wykorzystywane w Kalifornii.

Obecną sytuację skrytykował także podczas szczytu w Davos Bill Winters z Voluntary Carbon Market Integrity Council. „Dobrowolne rynki węgla istnieją tylko dlatego, że rządy zawiodły" – powiedział.

Choć przykładów tego typu krytyki nie brakuje, Komisja Europejska uważa, że spekulacje nie powodują wzrostu cen emisji dwutlenku węgla, powołując się na raport Europejskiego Urzędu Nadzoru Giełd i Papierów Wartościowych (ESMA) z marca tego roku, gdzie nie stwierdzono nieprawidłowości w funkcjonowaniu unijnego rynku praw emisji CO2. Co ciekawe, nawet mimo tych zaprzeczeń KE przygotowuje plan zwiększenia przejrzystości rynku emisji.

Infografika: Expansion

„REpower EU" może stać się jednak drogą do uwolnienia nowych uprawnień. Niektórzy sądzą, że taki ruch źle wpłynie na walkę ze zmianami klimatycznymi. Gilles Moëc z AXA Investment Managers jest zdania, że uprawnienia do emisji dopiero niedawno zbliżyły się do progu 100 euro za tonę, „który jest uważany za właściwy próg, być może dzięki przejściu UE na bardziej ambitne cele i zapowiedzi dalszego przyspieszenia redukcji pozwoleń na emisję". Wprowadzenie zmian polegających na zwiększeniu ilości uprawnień na rynku może sugerować, że Unia chce ten rynek traktować nie jako narzędzie walki ze zmianami klimatycznymi, ale jako źródło finansowania. „Uwolnienie niewykorzystanych pozwoleń na emisję byłoby złym sygnałem, ponieważ niższa cena emisji dwutlenku węgla dzisiaj wpływa na wyższą emisję dwutlenku węgla jutro" – mówi Moëc.

Kiedy na unijnym rynku obrotu uprawnieniami toczą się spory, światowa gospodarka podąża swoją drogą. Szwajcarska firma Climeworks pozyskała właśnie 650 mln dolarów na rozwój technologii pochłaniania CO2 z powietrza.

Źródło: Expansión

Niemcy zmodernizują armię

Ciąg dalszy ze strony 1

„Jest oczywiste, że musimy znacznie więcej inwestować w bezpieczeństwo naszego kraju, aby chronić naszą wolność i demokrację" – powiedział Scholz.

Kiedy zakończyła się II wojna światowa, Niemcy zostały zdemilitaryzowane. Pozostawały w tym stanie aż do 1955 r., kiedy powstała Bundeswehra. Jednak nawet od tamtego momentu Niemcy unikały konfliktów militarnych, stawiając na dyplomację i dialog. Agresja Putina na Ukrainę pokazała natomiast, że bezpieczeństwo innych europejskich krajów nie jest tak dalece gwarantowane, jak mogło się wcześniej wydawać.

Po upadku muru berlińskiego i zjednoczeniu Niemiec, Berlin próbował utrzymywać przyjazne stosunki z Moskwą. „Dialog i współpraca z Rosją nie sprawdziły się. Wkroczyliśmy w nową erę bezpieczeństwa europejskiego" – powiedział Nils Schmid z Partii Socjaldemokratycznej (SPD) w wywiadzie dla BBC.

Postrzeganie Rosji przez Niemców zaczęło się zmieniać już w 2014 r., kiedy Putin zaanektował Krym. Zdystansowanie się do Rosji nie było jednak łatwe, ponieważ 55 proc. zużywanego przez Niemcy gazu pochodzi właśnie z tego kraju. To sprawia, że obok Włoch Niemcy są najbardziej uzależnionym energetycznie od Rosji krajem Unii Europejskiej.

W wywiadzie dla „La Razón" profesor Aleksander Motyl, zajmujący się naukami politycznymi na Uniwersytecie Rutgersa, wyjaśnił jednak, że Niemcy „są bogatym krajem, co może oznaczać, że bez problemu mogą zrezygnować z rosyjskiego gazu". I faktycznie Berlin planuje zmniejszenie swojej zależności od gazu z Rosji. Do końca tego roku import rosyjskiego

Część ze 100 mld euro przeznaczonych na modernizację niemieckiej armii pójdzie na zakup amerykańskich myśliwców F-35

gazu ma spaść o 30 proc., a w 2024 r. – do zera. Podobnie postanowiono nie przedłużać kontraktów na dostawy rosyjskiej ropy. Dzięki temu możliwe będzie stopniowe przestawienie się na surowce od innych dostawców.

Mając przed sobą możliwość uniezależnienia się od rosyjskich surowców, Niemcy zaczęły planować doposażenie swojej armii. Ministerstwo obrony przygotowało listę koniecznego sprzętu, na której znalazły się między innymi noktowizory, ciężkie śmigłowce transportowe oraz sprzęt radiowy.

„100 mld euro zwiększy nasze zdolności obronne i odpowiedzialność wobec naszych sojuszników" – powiedziała minister spraw zagranicznych Annalena Baerbock z Partii Zielonych w wywiadzie dla „Der Spiegel".

„Obejmuje to zakup 35 amerykańskich myśliwców F-35, śmigłowców, które naprawdę latają, amunicji wartej miliardy, bezpiecznych i kompatybilnych z naszymi sojusznikami radiotelefonów i wielu innych urządzeń, które zapewnią naszym siłom zbrojnym najnowocześniejsze wyposażenie" – zapowiedziała niemiecka minister.

Źródło: La Razon

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

17 czerwca 2022 - Warszawa – Polska *www.nowyswiat24.com.pl* *Numer 9(21)/2022*

Fundacje rodzinne zagwarantują kontynuację polskim firmom

O fundacjach rodzinnych i sukcesji w polskich firmach, Przewodniczący sejmowej Komisji Nadzwyczajnej do spraw deregulacji poseł dr Bartłomiej Wróblewski, rozmawia z dr. Januszem Grobickim

Źródło: bartlomiejwroblewski.pl

Instytut Biznesu Rodzinnego ustalił, że 92 proc. polskich firm to przedsiębiorstwa potencjalnie rodzinne. Jednak tylko dziesięć proc. dzieci właścicieli przedsiębiorstw jest zainteresowanych sukcesją. Dlaczego ten odsetek jest tak niski?

Przyczyny są złożone. Istotne znaczenie ma czynnik kulturowy. Do rewolucji 1968 roku na Zachodzie młodzi mężczyźni chcieli być tym, kim był ojciec bądź stryj. Po 1968 roku jest odwrotnie, regułą jest raczej to, że młodzi chcą być wszystkim, tylko nie tym samym kim są rodzice. Dlatego sukcesja, kontynuacja firm w wielu miejscach stanęła pod znakiem zapytania. Świadczą o tym liczby, które Pan podaje. W Polsce dodatkowo mamy jeszcze jeden czynnik, a mianowicie brakuje instytucji prawnej, która by umożliwiała działanie i płynną sukcesję w firmach rodzinnych. I stąd obecna dyskusja o fundacjach rodzinnych.

Czy uważa pan, że te fundacje rodzinne będą w stanie w jakiś sposób powiększyć grupę „dzieci" zainteresowanych sukcesją?

Wiemy z innych państw europejskich, że fundacje rodzinne pomagają w trwaniu firm po śmierci założyciela. Jest to duża wartość, że biznes ocaleje, że nie ulega podziałowi i rozdrobnieniu, nie zostanie sprzedany zagranicznym właścicielom, a tym bardziej nie zostanie zlikwidowany. W Polsce to problem wielu firm powstałych od 1989 r. Staje się szczególnie istotny, bo duża część ich założycieli zbliża się do wieku emerytalnego czy wręcz już ten wiek osiągnęła. Często też niektóre z dzieci, a niekiedy wręcz żadne nie czuje się na siłach, nie jest w stanie albo nie chce kontynuować działalności gospodarczej rodziców. Instytucja fundacji rodzinnych pozwala w takich sytuacjach na dalsze funkcjonowanie firmy, a jednocześnie czerpanie korzyści przez wskazanych przez fundatora członków rodziny, a w szczególności przez dzieci i wnuki. Wielką wartością jest to, że firma ocaleje i może się dalej rozwijać. W przypadku średnich i dużych polskich firm zwiększa to szansę, że niektóre z nich będą miały szansę stać się przedsiębiorstwami o potencjale europejskich czy globalnym. Daje to szansę na budowanie silnych polskich marek.

W jakim zakresie fundacje rodzinne będą komplementarne do obowiązujących przepisów prawnych, które nie są na tyle popularne lub na tyle uniwersalne, aby ułatwiały sukcesję?

Sens fundacji rodzinnych polega na tym, że fundator bądź fundatorzy, tworząc fundację, przekazują jej swój majątek, a przede wszystkim swoje firmy. To fundacja staje się właścicielem i dalej zarządza majątkiem. Natomiast dzieci, inni członkowie rodziny, ale opcjonalnie także wskazane przez fundatora organizacje pożytku publicznego są beneficjentami fundacji. Beneficjenci mają przy tym wpływ na funkcjonowanie fundacji, określają strategię i sprawują nadzór. Dzięki tej konstrukcji przekazana fundacji rodzinnej firma może trwać i rozwijać się zgodnie z kierunkiem wskazanym przez fundatora, a dzieci mogą z tego korzystać, nawet jeśli bezpośrednio w tej firmie już nie pracują.

Instytucja fundacji rodzinnych nie jest oryginalna. Funkcjonuje w wielu państwach europejskich. Przygotowywane w Polsce rozwiązania wzorowane są na stosowanych w Austrii, Luksemburgu i Niemczech. Nie jest tajemnicą, że w związku z brakiem tej instytucji w Polsce niektóre zamożne polskie rodziny skorzystały z tych rozwiązań, zakładając fundacje zagranicą.

Panie Pośle czy ustawa o fundacjach rodzinnych zmierza do stworzenia takich ram prawnych, które w jakiś sposób będą podobne do tych, regulujących funkcjonowanie funduszy powierniczych?

Można pewnie jedno do drugiego porównywać. Trzeba jednak pamiętać, że w fundacjach rodzinnych element „rodzinny" ma zasadnicze znaczenie. Z reguły jest tak, że twórca firmy zakładając fundację, zapewnia jej dalsze funkcjonowanie, a jednocześnie utrzymanie swoim dzieciom i wnukom. Cementuje to rodzinę i daje możliwość korzystania z owoców pracy rodziców czy dziadków. Fundacja może opłacać naukę i studia czy koszty leczenia bądź opieki. Pełni rolę integrującą. Dzieci i wnuki zachęca do współpracy, do „grania do jednej bramki". Jednocześnie beneficjenci nie muszą, choć mogą być specjalistami w dziedzinie związanej z biznesem rodziców. Na co dzień działania fundacji prowadzi wybrany przez beneficjentów zarząd.

Jak z tego punktu widzenia wygląda zarządzanie firmą, kiedy fundatorzy, czyli rodzice – założyciele fundacji i przedsiębiorstwa już odejdą, a pozostaną tylko ich dzieci i wnuki?

Projekt ustawy przewiduje istnienie trzech organów: zarządu, zgromadzenia beneficjentów, a fakultatywnie także rady protektorów. Głos decydujący ma fundator, a po jego śmierci zgromadzenie beneficjentów. Modelowo jak już mówiliśmy to dzieci bądź wnuki. To one decydują o wyborze zarządu, wskazują kierunki rozwoju fundacji. Nie mają jednak pełnej swobody, są ograniczeni ustawą, statutem fundacji, nie mogą w pełni dysponować majątkiem fundacji. Fundacja jest ciałem od nich niezależnym, ustanowionym z myślą o obecnych i przyszłych beneficjentach, o członkach rodziny – pełnoletnich i niepełnoletnich oraz tych, którzy dopiero się urodzą.

Przedsiębiorstwa rodzinne mają bardzo wielki wpływ na stan polskiej gospodarki. Sukcesja i sprawa tej ustawy nabiera krytycznego znaczenia dla rozwoju Polski. Kiedy ta ustawa ma szansę wejść w życie?

Polska gospodarka opiera się na firmach rodzinnych. Ta ustawa jest potrzebna, aby ułatwić sukcesję w polskich firmach rodzinnych, szczególnie średnich i dużych. Zgodnie z projektem ustawy minimalna wartość majątku w momencie założenia fundacji to 100.000 zł. Zwykle zapewne będą to jednak znacznie większe środki. Wydaje się, że ta forma kontynuacji firm rodzinnych będzie dla wielu atrakcyjna. Na spotkanie, które jako przewodniczący Komisji Nadzwyczajnej ds. Deregulacji, zorganizowałem w maju 2022 r., przyjechało do Sejmu kilkudziesięciu przedsiębiorców, często założycieli i prezesów znaczących firm. To pokazało, że sprawa jest ważna i pilna. Podkreślali bowiem, że stoją przed dużym dylematem. Kiedy zbliżają się do emerytury czy do końca życia, mają obawę o przetrwanie budowanej przez kilkadziesiąt lat firmy, obawiają się o udaną sukcesję i to, jak ułożą się relacje między dziećmi. Fundacja rodzinna daje szansę na to, aby firma trwała, stanowiła zabezpieczenie dla członków rodziny, a jednocześnie, aby relacje w rodzinie w aspekcie majątkowym były transparentne.

Kiedy te rozwiązania mogą uzyskać akceptację Sejmu?

Prace nad tą ustawą rozpoczęły się wiele lat temu, ale z różnych powodów były wstrzymywane i znów podejmowane. Obecnie po długich konsultacjach w Ministerstwie Rozwoju mamy konkretny projekt. Firmy rodzinne – w szczególności z Wielkopolski – zwróciły się do mnie o to, aby w ramach Komisji Nadzwyczajnej do spraw deregulacji, którą kieruję, podjąć ten temat. Nasza Komisja zajmuje się sprawami gospodarczymi, ułatwieniami dla biznesu, więc naturalne jest także wsparcie tego projektu. I stąd spotkanie, o którym już mówiłem. Ważne było to, że wzięli w nim udział przedstawiciele rządu z Panią wiceminister Olgą Semeniuk, pracownicy Ministerstwa Rozwoju oraz Ministerstwa Finansów. Przebiegło w dobrej atmosferze i widoczna jest życzliwość ministerstw dla tej ustawy. Największą trudnością – i to stanowi chyba jedyny istotny problem – to konieczność znalezienia neutralnego podatkowo rozwiązania. Z jednej strony, aby opodatkowanie fundacji rodzinnych nie było dodatkowym obciążeniem dla przedsiębiorców, a z drugiej strony by nie stwarzało ryzyka, że fundacja rodzinna będzie sposobem na omijanie podatków. Takie rozwiązanie nie uzyskałoby społecznej akceptacji. Ważne, bo padły ze strony urzędników deklaracje, że prace skończą się szybko, a już na pewno w tej kadencji. Jako Komisja Nadzwyczajna do spraw deregulacji będziemy o to zabiegać i tego pilnować.

Dziękuję za rozmowę.

Janusz Grobicki

NOWY ŚWIAT 24
Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów
17 czerwca 2022 - Warszawa – Polska *www.nowyswiat24.com.pl* *Numer 9(21)/2022*

Unia obawia się sojuszu polsko-ukraińskiego

Czy Ukraina powinna szybko znaleźć się w Unii? – analiza „The American Conservative"

Okoliczności, w jakich Ukraina chce ubiegać się o członkostwo w Unii Europejskiej, są unikalne. Żaden inny kraj nie przystępował do UE, będąc w podobnej sytuacji. Jednak musimy pamiętać, że Unia jest organizacją przede wszystkim biznesową. Jako taka powinna się kierować interesami państw członkowskich, nie zaś kwestiami humanitarnymi czy moralnymi.

Unia Europejska to gospodarcza potęga, która przez ostatnie dekady stanowiła największy jednolity rynek świata. Rynek ten z powodzeniem ewoluował, a działo się to dzięki współpracy członków Unii kierujących się wspólnymi wartościami. Z tej perspektywy nie może dziwić, że państwa członkowskie reagują w różny sposób na przyznanie kandydatury Ukrainie. Oczywiście ma to znaczenie symboliczne czy moralne. Jednak faktyczne członkostwo tego kraju miałoby przecież konsekwencje geopolityczne, polityczne, prawne, no i finansowe. Jednak choć kandydatura Ukrainy byłaby znakiem solidarności, to nie zakończy wojny i nie powstrzyma Rosji.

Ukraina od lat pragnie ubiegać się o członkostwo w Unii. Jej ówczesny prezydent Wiktor Janukowycz odmówił podpisania „umowy stowarzyszeniowej" w 2013 i 2014 r. Miało to poważne konsekwencje – stało się jednym z powodów protestów na Majdanie. W końcu po pięciu kolejnych latach zamiar ten został wpisany do ukraińskiej konstytucji. Kiedy Rosja zaatakowała Ukrainę, prezydent Wołodymyr Zełenski zażądał natychmiastowego przyjęcia do Unii, w ramach „nowej procedury specjalnej".

Takiej procedury oczywiście nie ma. Nie zmienia to jednak faktu, że przystąpienie Ukrainy do Unii i tak postępuje w błyskawicznym tempie. Przez kilka tygodni udało jej się poczynić kroki, które innym państwom zajmowały miesiące, a nawet lata. Wniosek o przyjęcie do Unii został złożony już cztery dni po rozpoczęciu inwazji. 18 kwietnia dostarczono szczegółowe informacje wymagane przez Komisję do oceny. Ocena ma być gotowa (i wygłoszona) na szczycie unijnym w czerwcu. Tę samą drogę Bośnia i Hercegowina przeszła w trzy lata! Podobnie Austria, Szwecja czy Finlandia

Chociaż Ukraina podziela zachodnie wartości, to tak szybka akcesja do Unii tworzy obawy zarówno wśród państw członkowskich, jak i w Stanach Zjednoczonych. Pojawiają się głosy „za", ale towarzyszą im też głosy „przeciw". Szefowa kierownictwa Unii Europejskiej Ursula von der Leyen powiedziała: „Chcemy, żeby weszli. Ukraina należy do europejskiej rodziny". Przyznała jednak, że jej przystąpienie do Unii zajmie trochę czasu i trudno powiedzieć, kiedy nastąpi. Prezydent Francji Emmanuel Macron uspokajał, że taki proces „zajmie kilka lat, prawdopodobnie kilka dekad", po których dopiero Ukraina będzie spełniała unijne standardy. Zasady to zasady i Ukraina nie może być wyjątkiem. Unia bardzo chce wspierać wartości demokratyczne w świecie, ale nie może się odrywać od rzeczywistości.

A rzeczywistość jest skomplikowana. „Specjalna procedura", której domagał się Zełenski, oznaczałaby konieczność stworzenia doraźnego ustawodawstwa, którego jednak prawo europejskie nie zna. Na ustanowienie nowej, indywidualnej procedury musiałoby się zgodzić wszystkie 27 państw członkowskich. A należy zaznaczyć, że już w marcu nie było wśród nich jednomyślności w kwestii ukraińskiej kandydatury. Miała ona poparcie krajów Europy Środkowej i Wschodniej, ale zachodnie kraje – jak na przykład Holandia – wyraziły swój sprzeciw.

Należy dodać, że nie byłby to pierwszy raz, gdy rozszerzenie Unii potraktowano jako narzędzie polityczne służące zmianie struktur unijnych. Tak było już w przypadku Cypru. Jego członkostwo zostało ratyfikowane pomimo trwających problemów z korupcją, a także nieukończonego porozumienia pokojowego. Spodziewano się, że wcześniejsza ratyfikacja będzie impulsem do przeprowadzenia trudnych reform. Tak się jednak nie stało, reakcja była odwrotna, po przystąpieniu do Unii wola niełatwych kompromisów gdzieś się ulotniła.

Przystąpienie do Unii Europejskiej jest trudniejsze niż przystąpienie na przykład do NATO. Unia ma duży dorobek prawny, który państwo kandydujące musi przyjąć i wdrożyć w swoich granicach. Dotyczy on często drobnych rzeczy, jak metkowanie odzieży, ale kończy się na kwestiach zasadniczych, jak prawo zamówień publicznych. Ma to często poważne wewnętrzne skutki polityczne.

Będąc członkiem Unii Europejskiej, Ukraina miałaby prawo do korzystania z „klauzuli wzajemnej pomocy". W ramach tej zasady państwa członkowskie zobowiązują się do niesienia „pomocy i wsparcia przy użyciu wszelkich środków, jakie są w ich mocy" w przypadku agresji zbrojnej. Nie jest ona tożsama z NATO-wską „klauzulą obrony zbiorowej", ale obecnie rodzi pytania o faktyczne możliwości obronne Unii. Niektórzy komentatorzy twierdzą – i nie bezpodstawnie – że takie wsparcie mogłoby prowadzić do eskalacji konfliktu, a celem agresji stałaby się nawet cała Unia Europejska. Inni w swoich obawach idą dalej i twierdzą, że nawet sama kandydatura Ukrainy stwarza obecnie takie zagrożenie.

Ukraina jest dość dużym krajem, zarówno pod względem powierzchni, jak i liczby zamieszkującej ją ludności. To drugie miałoby znaczenie dla instytucjonalnej równowagi w UE, ponieważ Ukraina zyskałaby wiele głosów w Radzie oraz Parlamencie Europejskim. Gdyby Ukraina weszła w bliski sojusz z Polską, która pomaga jej w zmaganiach z inwazją i zamierza pomóc w zmaganiach z akcesją, byłaby to 80-milionowa siła, która zagroziłaby obecnej francusko-niemieckiej dominacji w Unii Europejskiej.

Inna sprawa to zdolność Unii do ewentualnego przyjęcia nowego członka. Już teraz osiąganie konsensusu jest kłopotliwe, rozszerzenie Unii mogłoby zwiększyć paraliż decyzyjny, jeśli nie przeprowadzono by odpowiednich reform wewnętrznych. Jednak takie reformy, które znosiłyby zasadę jednomyślności, zmieniałyby charakter Unii. Przekształciłyby ją raczej w federalne superpaństwo, w którym mogłyby dominować Niemcy i Francja – a to w przypadku gospodarczych skutków wojny komplikuje przystąpienie Ukrainy jeszcze bardziej.

Przyspieszona ścieżka przystąpienia do Unii może się wydawać bardzo dobrą propozycją w środku wojny, ale należy zachować wypróbowane już procesy i konieczne warunki. Unia nie może obniżyć swoich standardów dla Ukrainy – także dlatego, że równałoby się to zignorowaniu tak cenionej w Unii praworządności. Taktyka takiej „uzasadnionej elastyczności" byłaby bardzo złym przykładem. Prawo nie powinno służyć arbitralnym celom politycznym, tylko utrzymaniu porządku.

Zamiast tworzyć jakieś „drugie poziomy" unijnego członkostwa, należałoby trzeźwo ocenić możliwość zastosowania aktualnie istniejących ram. Można przecież wzmocnić Partnerstwo Wschodnie oraz umowę stowarzyszeniową z Ukrainą. Samo zapewnienie jej kandydatury nie jest bez znaczenia. W ten sposób możliwe jest zbliżenie się do celów strategicznych bez jednoczesnego porażenia systemu, które mogłoby zajść przy realizowaniu francuskiej koncepcji Unii Europejskiej wielu prędkości. Pomysł prezydenta Francji grozi bowiem instytucjonalizowaniem dyskryminacji poprzez tworzenie różnych klas państw członkowskich, a co za tym idzie – także unijnych obywateli.

Źródło: The American Conservative

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

17 czerwca 2022 - Warszawa – Polska *www.nowyswiat24.com.pl* *Numer 9(21)/2022*

Putin wstrząsnął Europą

Amerykański dziennikarz i publicysta Tomas Friedman regularnie pisze o wojnie w Ukrainie. W swoim artykule dla „The New York Times" przyznaje jednak, że to dopiero przyjazd na Stary Kontynent i rozmowy z europejskimi politykami, dyplomatami i przedsiębiorcami pozwoliły mu w pełni zrozumieć, co się tak naprawdę stało

„Widzicie, myślałem, że Władimir Putin najechał na Ukrainę. Myliłem się. Putin najechał na Europę" – pisze Friedman. I uważa, że „to może być największy akt głupoty w wojnie europejskiej od czasu inwazji Hitlera na Rosję w 1941 r.".

Putin prawdopodobnie sądził, że w końcu Europa pogodzi się z napaścią na Ukrainę, skoro pogodziła się z zajęciem Półwyspu Krymskiego. W 2014 r. Rosjanie napotkali tylko niewielki opór, a i odzew świata na tę sytuację nie był wielki.

Obecnie jest jednak inaczej. „Jeśli to była faza szoku tej wojny – a ona wciąż trwa – to faza zachwytu jest czymś, co zauważyłem wśród europejskich urzędników w Davos i Berlinie. Mówiąc wprost, podczas gdy Stany Zjednoczone Ameryki zdają się rozpadać, Stany Zjednoczone Europy – 27 członków Unii Europejskiej – wprawiły w osłupienie wszystkich, a przede wszystkim samych siebie, łącząc się w pięść, wraz z kilkoma innymi narodami europejskimi i NATO, aby powstrzymać inwazję Putina" – pisze Friedman.

Obecna wojna jest coraz częściej porównywana do napaści Hitlera na Europę we wrześniu 1939 r. Mamy XXI wiek, a rosyjscy żołnierze w Ukrainie masowo ostrzeliwują budynki mieszkalne i szpitale, zabijając cywilów, plądrując domy i gwałcąc kobiety. W efekcie mamy do czynienia z największym kryzysem uchodźczym w Europie od czasów II wojny światowej. Na dodatek Putin szantażuje, sprzeciwiające się inwazji, kraje użyciem broni jądrowej i konsekwencjami, „jakich nigdy nie widziały".

Kraje Europy reagują

Wszystko to sprawiło, że „Unia Europejska zerwała z wieloletnimi, drobnymi sankcjami gospodarczymi wobec Rosji i wystrzeliła precyzyjny pocisk ekonomiczno-sankcyjny w sam środek gospodarki Putina" – zauważa Friedman.

Rząd Niemiec ogłosił ogromny wzrost wydatków na wojsko i zamierza dostarczyć broń zaatakowanemu krajowi. Tym samym zrezygnował z trwającej od zakończenia II wojny światowej niechęci do konfliktów i utrzymywania minimalnego budżetu obronnego.

Także Szwecja i Finlandia porzuciły ponad 70-letnią neutralność, występując o członkostwo w NATO.

Z kolei Polska „zrezygnowała z gry z proputinowskim, antyimigranckim populistą premierem Węgier Viktorem Orbánem i otworzyła swoje granice dla ponad dwóch milionów ukraińskich uchodźców, czyniąc z siebie jednocześnie ważny most lądowy do przerzucania broni NATO na Ukrainę".

Friedman nazywa rosyjską inwazję europejskim trzęsieniem ziemi. Joschka Fischer, były minister spraw zagranicznych Niemiec, opisał to też jako „przebudzenie". „Status quo ante już nie powróci. W Europie zachodzą ogromne zmiany w reakcji na Rosję – nie ze względu na amerykańskie naciski, ale dlatego, że zagrożenie ze strony Rosji jest dziś postrzegane zupełnie inaczej. Rozumiemy, że Putin nie mówi tylko o Ukrainie, ale o nas wszystkich i naszej drodze do wolności" – powiedział.

Fischer twierdzi też, że współczesna Europa jest obecnie w „trybie konfrontacyjnym z Rosją. Rosja nie jest już częścią żadnego europejskiego porządku pokojowego". Uważa, że nastąpiła „całkowita utrata zaufania do Putina".

By wymazać Ukrainę

Putinowi nie chodzi tylko o to, by zapanować nad sąsiednim państwem. Swoimi działaniami usiłuje wykreślić Ukrainę i jej mieszkańców z mapy i udowodnić, że jako kraj Ukraina nie istnieje. Dlatego tak systematycznie jego armia niszczy tamtejsze miasta i infrastrukturę.

Friedman podczas ostatniego Światowego Forum Ekonomicznego w Davos przeprowadził wywiad z Anatolijem Fedorukiem. Burmistrz Buczy, ukraińskiego miasta, w którym Rosjanie wymordowali wielu cywilów, a ich ciała porzucili na ulicach, aby zgniły, opowiedział, co przeżyli mieszkańcy. „419 pokojowo nastawionych obywateli zostało zamordowanych na wiele sposobów" – powiedział. I dodał: „W naszym mieście nie było żadnej infrastruktury wojskowej. Ludzie byli bezbronni. Rosyjscy żołnierze kradli, gwałcili i pili. Jestem naprawdę zaskoczony, że to się dzieje w XXI wieku".

Europa się jednoczy

W związku z inwazją Unia Europejska nałożyła na Rosję pięć pakietów sankcji. To trochę broń obosieczna. Z jednej strony sankcje bardzo szkodzą Rosji, z drugiej są niezwykle kosztowne dla krajów UE. Rośnie inflacja i ceny surowców. Uzgodniony niedawno szósty pakiet ogranicza do końca tego roku import ropy naftowej z Rosji o około 90 proc. Sberbank, największy bank Rosji, zostanie też wykluczony z systemu SWIFT.

Kraje Unii przyjęły też uchodźców ukraińskich. Zgodnie z tym, co powiedział premier Morawiecki, w Polsce otrzymują oni taką samą opiekę zdrowotną, zasiłki na dzieci i edukację, jak Polacy. „Jedyne, czego nie mają, to prawa do głosowania" – powiedział.

Polski polityk uważa, że Putin myślał, że Unia Europejska szybko się rozpadnie pod jego naciskiem, ale się bardzo pomylił. Wojna bowiem tylko jeszcze bardziej zjednoczyła kraje.

Postawa Europy zapewne zdziwiła rosyjskiego przywódcę. Wydawało mu się, że ma Niemcy w kieszeni – kupione i opłacone tanim gazem. Tymczasem tak jak i inne kraje europejskie uznały one atak na Ukrainę za atak na wszystkich.

Jak długo Europa wytrzyma – trudno powiedzieć. „Putin liczy na zmęczenie Zachodu" – powiedział Morawiecki. „Wie, że ma dużo więcej czasu, bo demokracje są mniej cierpliwe niż autokracje".

Niektórzy przywódcy Unii Europejskiej zachęcają prezydenta Bidena, by zadzwonił do Putina w sprawie warunków zawieszenia broni. Zwłaszcza że wojsko Putina zaczyna zyskiwać przewagę we wschodniej i południowej Ukrainie.

„Mam nadzieję, że Ukraińcom uda się utrzymać pozycję na tyle długo, by bardziej zaawansowana broń zachodnia mogła wyrównać szanse w walce, a sankcje UE wobec Rosji zaczęły naprawdę boleć, tak by Ukraińcy mieli realną przewagę nad Putinem w negocjacjach" – pisze Friedman.

Nikt nie ufa Rosji

Wśród Europejczyków panuje przekonanie, że dopóki Putin rządzi krajem, bardzo trudno będzie zaufać Rosji w czymkolwiek, co dotyczy Ukrainy. Szczególnie że ta wojna jest wynikiem jego ambicji i jego przekonania o tym, że Ukraina nie jest prawdziwym krajem i nie istnieje coś takiego jak odrębna ukraińska kultura.

Bez zmiany reżimu Zachód nie może powrócić do jakiejkolwiek normalności w stosunkach z Moskwą. „Wszystko to oznacza, że coś bardzo ważnego z Putinem zostało tutaj zepsute i będzie to problem, gdy przejdziemy do stołu negocjacyjnego – tak długo, jak Putin będzie przewodził Rosji. Jednak Putin to problem, z którym muszą sobie poradzić Rosjanie, a nie my" – podsumowuje Friedman.

Źródło: The New York Times

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

17 czerwca 2022 - Warszawa – Polska www.nowyswiat24.com.pl Numer 9(21)/2022

Tchórzostwo Europy wzmacnia Putina

Unia Europejska ma problemy z nałożeniem skutecznych sankcji na Rosję. Najdobitniej pokazuje to zakaz handlu rosyjską ropą naftową. Zawiązany przeciwko Putinowi sojusz Zachodu wyraźnie się rozpada – twierdzi „The Telegraph"

Walki w Ukrainie trwają i po okresie sukcesów Ukraińców szala zwycięstwa powoli przechyla się na stronę Putina. Po części jest to zasługa bardziej kompetentnej, choć niezwykle destrukcyjnej kampanii wojskowej – ocenia brytyjski dziennik.

Do sukcesów Rosji przyczynia się też fakt, że w Unii Europejskiej „praktycznie niemożliwe okazuje się uzgodnienie wspólnego, twardego podejścia, niezbędnego, by pomóc Ukrainie pokonać ambicje Władimira Putina". Nic dziwnego więc, że Wołodymyr Zełenski czuje się okrutnie zawiedziony.

Chwiejna postawa UE

Europa nadal kupuje rosyjską ropę i gaz. Tym samym, kwotą prawie 1 mld dolarów dziennie finansuje poczynania Kremla. Z drugiej strony, te same kraje obiecują dostawy sprzętu wojskowego, którego Ukraina potrzebuje do obrony. I śmieszne to, i straszne. A raczej to drugie.

Wygląda to tak, jakby Europie nie leżała na sercu walka Ukrainy

Początkowe groźby bezkompromisowych sankcji wobec Rosji ustąpiły miejsca niechlujnym półśrodkom. Także początkowe dążenie Zachodu do bezwarunkowego pokonania Rosji z czasem przyjęło postać dążenia do jakiegoś rodzaju porozumienia pokojowego. I to takiego, w ramach którego Ukraina oddałaby duże połacie swojego terytorium najeźdźcy.

W tym samym czasie transporty broni nie są realizowane. Unijny zakaz importu rosyjskiej ropy złagodzono tak, by nie obejmował Węgier. Chociaż Komisja Europejska domaga się, by wszyscy trzymali się jednej linii, Włochy chcą takich rozmów pokojowych, które oddałyby teren Putinowi.

Wspólna rozmowa telefoniczna Emmanuela Macrona i Olafa Scholza z Putinem wzbudziła dodatkowo podejrzenia, że także Francja i Niemcy są gotowe sprzedać Zełenskiego.

Najwyraźniej interesy gospodarcze są ważniejsze dla krajów UE niż zasadnicza obrona demokracji. „Wygląda to tak, jakby Europie nie leżała na sercu walka Ukrainy" – pisze „The Telegraph".

Widać też, że rośnie rozdźwięk między twardą retoryką a pozorną gotowością do kompromisu.

Komu bardziej szkodzi embargo – Putinowi czy Zachodowi?

„Putin musi się śmiać aż do rozpuku, ponieważ najbardziej namacalną konsekwencją unijnego embarga na ropę naftową było jak dotąd dalsze podbijanie cen tego surowca" – zauważa gazeta.

Wraz ze wzrostem cen ropy rosną zyski Putina. Zarabia znakomicie, nawet sprzedając surowiec po obniżonych cenach. Zmuszony jest je zaakceptować, ponieważ Europa ogranicza swoje zakupy. A chętnych poza Europą też nie brakuje. Czy Chiny, czy Indie, zawsze znajdą się chętni na alternatywnych nabywców.

Jeszcze miesiąc temu wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Ukraińcy dzielnie się broniąc, uniemożliwili Putinowi zajęcie terytorium. Przywódcy europejscy zaś deklarowali gotowość do poniesienia trudów gospodarczych związanych z zakazem importu rosyjskiej ropy i gazu.

Przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula Von der Leyen w przemówieniu wygłoszonym w Parlamencie Europejskim, z przekonaniem zapowiedziała wprowadzenie ogólnoeuropejskiego zakazu importu rosyjskiej ropy „w ciągu kilku dni".

Te „kilka dni" okazały się czterema tygodniami. Przy czym Węgry, z sympatyzującym z Putinem Viktorem Orbánem, wyłączono spod zakazu.

To wszystko pokazuje trudności, z jakimi boryka się Europa, by skutecznie ukarać Rosję za jej rosnącą listę zbrodni wojennych. Nie jest łatwo ustalić coś wspólnego, gdyż potrzebna jest zgoda 27 różnych narodów.

„Nie wiadomo, jak to wszystko ma się do »integralności« jednolitego rynku europejskiego, bronionego do ostatka w negocjacjach z Wielką Brytanią w sprawie Brexitu i protokołu irlandzkiego. W przypadku Węgier z pewnością nic nie znaczy" – pisze „The Telegraph".

Brak umiejętności porozumienia się w sprawie nałożenia sankcji w UE budzi wątpliwości

Zwolnienie Budapesztu z przestrzegania embargo daje państwu nieuczciwą przewagę konkurencyjną nad pozostałymi krajami UE. Te będą zmuszone płacić krocie za kosztowne alternatywne surowce, podczas gdy Węgry mogą kupować tani produkt rosyjski.

W sytuacji, gdy Rosja pozostaje największym na świecie eksporterem gazu i jednym z największych eksporterów ropy naftowej, rodzi się poważne pytanie – czy embargo na ropę jest w ogóle skuteczną formą sankcji?

„Wykluczając ją z rynków europejskich i amerykańskich, poprzez wyższe ceny wyrządza niewyobrażalne szkody gospodarkom Zachodu, a jednocześnie nie pozbawia Putina środków potrzebnych mu do sfinansowania wojny" – zauważa „The Telegraph".

Mimo że Kreml w obecnej sytuacji, by zdobyć nowych nabywców, musi zaoferować okazyjnych cen, to i tak na tym zarabia, gdyż ceny ropy rosną z powodu inflacji.

Konsekwencje podpisanego w Europie porozumienia będą jednak takie, że do końca roku zniknie około 90 proc. obecnego eksportu rosyjskiej ropy do Europy. O ile sankcje zostaną tak długo utrzymane.

Jeśli chodzi o Niemcy, mimo opóźnień, nadal bardzo poważnie podchodzą do kwestii obiecanych dostaw broni. Chcą też jak najszybciej uniezależnić się od rosyjskiej ropy i gazu. Holandia z kolei odmówiła płacenia w rublach.

„To zadziwiające, jak szybko zmienia się narracja w tej sprawie. Na początku kryzysu energetycznego jesienią ubiegłego roku gwałtownie rosnące ceny gazu w Wielkiej Brytanii zostały niekorzystnie przeciwstawione z kontynentem, gdzie znacznie większe możliwości magazynowania gazu i pozornie nieograniczony dostęp do rosyjskich dostaw utrzymywały koszty na stosunkowo niskim poziomie" – zauważa gazeta.

W tamtym czasie pojawiły się informacje o tym, że Rosja manipuluje dostawami, ale mało kto przypuszczał, że dokona inwazji na Ukrainę, zmuszając tym samym Europę do szukania sposobów uniezależnienia od rosyjskiej energii.

Wielkiej Brytanii łatwiej jest to zrobić niż reszcie Europy. Jest ona uzależniona w znacznie mniejszym stopniu od rosyjskiego importu. Jedynie 20 proc. oleju napędowego dostarczane jest tu z Rosji. Znacznie ułatwia to przyjęcie moralnej postawy. Jeśli chodzi o gaz, to rynek brytyjski zareagował już dużo wcześniej – od marca nie było ani jednego transportu rosyjskiego LNG.

Brak umiejętności porozumienia się w sprawie nałożenia sankcji w UE budzi wątpliwości. Czy istnieje w ogóle nadzieja na europejską armię i wszystkie inne elementy wyposażenia supermocarstwa, do którego Unia pretenduje?

Źródło: The Telegraph

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

17 czerwca 2022 - Warszawa – Polska *www.nowyswiat24.com.pl* *Numer 9(21)/2022*

Media społecznościo

14 kwietnia Elon Musk ogłosił złożenie oferty kupna Twittera. Za sprawą tej informacji trafił na pierwsze strony gazet i portali informacyjnych, gdzie mówił także o swoich zamiarach związanych z tą platformą społecznościową. „Le Point" zastanawia się, jaką rolę polityczną odgrywać mogą media społecznościowe pozostające w rękach osób tak potężnych, jak Musk. Swoje pytania kieruje do Asmy Mhalli, specjalistki od politycznych zagadnień technologii cyfrowych, profesor Sciences Po Paris, współpracującej wcześniej z Agencją Badań i Innowacji Komisji Europejskiej (REA) w zakresie badań nad demokracją, suwerennością technologiczną i dezinformacją w mediach społecznościowych

Le Point: Co jest najbardziej uderzające w chęci przejęcia Twittera przez Elona Muska?

Asma Mhalla: W zasadzie od końca kwietnia nie wiemy, czy Elon Musk w końcu kupi Twittera, czy nie. Ten cliffhanger pojawia się praktycznie każdego dnia. Nikt tak naprawdę nie wie, czy Musk kupi ten serwis, bo byłby to ruch przede wszystkim polityczny, a nie ekonomiczny. 18 maja Musk wypowiedział się na temat swoich aktualnych poglądów politycznych. Powiedział, że gdy zaczynał karierę, głosował na lewicę. Ale dodał też, że obecnie nie ufa Demokratom, których podejrzewa o próby szkodzenia mu w przyszłości. Może to być kolejna jego prowokacja, ale przyczynia się do zaostrzenia publicznej debaty w USA, do pogłębienia politycznego impasu, w jakim znajduje się ten kraj. Ten dramatyzm Muska w pewnym stopniu pokazuje wady amerykańskiego modelu.

Co oceniasz paradoksalnie jako korzystne dla Europy...

Tak. Europa została nieco w tyle pod względem technologicznym. Utraciła przez to utraciła cyfrową suwerenność, nie będąc w stanie zbudować samodzielnie europejskiej infrastruktury informacyjnej. Ale teraz – paradoksalnie – wyprzedza Stany Zjednoczone! Żeby bronić się cyfrowo, Europa wprowadziła pojęcie defensywnej suwerenności normatywnej. Skupiono się na standaryzacji, co początkowo stało się powodem drwin. Jednak teraz okazuje się, że to szaleństwo kolejnych regulacji może chronić Europę przed tymi problemami, z jakimi obecnie mierzą się Stany Zjednoczone.

To też dobra okazja dla Europy, by tę przewagę zaznaczyć, by narzucić własne standardy dla nowych projektów zarządzania sieciami społecznościowymi – a przez nie także demokracją. Musk wspomina o impasie demokratycznym, który pojawił się w Stanach, ale sięga on daleko poza poczynania Muska.

Ale Elon Musk samego siebie nazywa „cywilizowanym anarchistą"

Musk jest konserwatywnym anarchistą. Pod tym względem przypomina Jokera z Batmana, jest tak samo bezwzględny, choć bardziej jowialny. Nie interweniował w sprawie niedawnej masakry w Buffalo. Nie wypowiada się na temat aborcji (która w Stanach stała się ostatnio ponownie przedmiotem ożywionej debaty). Musk wyraźnie pogrywa sobie z amerykańskimi władzami, przeciwstawia im się, a czasem nawet otwarcie z nich kpi. Niedawno Thierry Breton mówił o „techplomacji" i ostrzegał Muska, ale nie wiadomo, czy on go w ogóle słucha. Elon testuje odporność amerykańskiego systemu. Staje się symbolem rozpadu suwerenności i kluczem do nowego podziału władzy: między państwem a BigTech.

Jak to świadczy o europejskiej demokracji?

Elon Musk pokazuje, że hiperpolaryzowany amerykański system demokratyczny znalazł się w ślepym zaułku. Sieci społecznościowe ukazują kres jego wytrzymałości i grożą zniszczeniem.

Ta fatalna kondycja amerykańskiej demokracji sprawia, że znikają punkty odniesienia – coraz trudniej porozumieć się choćby na temat podstawowych wartości. W USA nie udaje się już zdefiniować wolności słowa. Czy słuszna jest maksymalistyczna wersja Muska, czy umiarkowana i regulowana wersja Obamy? To kwestie niezwykle istotne dla systemu państwowego, a Stany Zjednoczone nie potrafią już ich rozwiązać. Dochodzi do ideologicznej walki, której wynik będzie bardzo ważny dla Europy – głównego sojusznika USA.

Czas, w jakim pojawiają się te zasadnicze kwestie w USA, jest czasem, kiedy zachodnie demokracje muszą uporządkować własne modele polityczne. A sieci społeczne pojawiają się w samym centrum nowych rozwiązań gospodarczych, ideologicznych, politycznych i geopolitycznych.

To też wojna nerwów...

Media społecznościowe były kiedyś platformą egoistycznej ekspresji o raczej łagodnym charakterze. Dziś to miejsce psychologicznej wojny, która może mieć zarówno charakter militarny, jak i ekonomiczny. Musk sam rozpoczął ekonomiczną walkę 13 maja, kiedy napisał na Twitterze o wstrzymaniu wykupu tej platformy. Rozpoczęło to pokerową rozgrywkę z zarządem Twittera, pełną blefów i skrywanych motywacji.

Wcześniej negocjacje biznesowe tego typu prowadzono w kuluarach, a dziś prowadzi się je otwarcie na portalach społecznościowych. Wszyscy możemy zobaczyć, kto co oferuje, kto blefuje. To zaskakuje nawet regulatorów.

Więc tak, dochodzi do wojny nerwów, a stawka ma wymiar nie tylko finansowy, ale i psychologiczny. To brzmi komicznie, ale jest bardzo poważne: Musk może dziś zdestabilizować globalny rynek technologiczny jednym tweetem.

Ale media społecznościowe wikłają się też w walki polityczne. Widzieliśmy to na przykładzie Donalda Trumpa. Widzieliśmy też niebezpieczeństwa tej gry, gdy algorytmy grały na smutnych namiętnościach, co doprowadziło do ataku na Kapitol i wygnaniem z mediów społecznościowych Trumpa czy jego ekstremistycznych zwolenników.

Skutki dotyczą jednak całego świata.

Tak. Dwa ostatnie fronty geopolityczne, czyli wojna na Ukrainie i konfrontacja francusko-rosyjska w Sahelu, pokazały, że sieci społecznościowe to nowy teren informacyjnej wojny. Media społecznościowe umożliwiają prowadzenie cybernetycznych operacji destabilizacyjnych i dezinformacyjnych, i to przy niewielkich kosztach.

Sieci społecznościowe stały się częścią arsenału wojen hybrydowych. Jej elementami jest informacja (oraz dezinformacja) i nasze schematy poznawcze. Mówiąc inaczej, sieci społecznościowe stały się bronią – tak militarną, jak i ekonomiczną. Manipulują naszym poznaniem, grają na emocjach, zmieniają nasze indywidualne i zbiorowe postrzeganie świata. W takiej formie są niedemokratyczne.

Co masz na myśli, mówiąc, że są niedemokratyczne?

Jeśli demokracja liberalna byłaby rynkiem, idee musiałyby na niej konkurować między sobą w wolny sposób. Ale sieci społecznościowe na to nie pozwolą. Pozostają bowiem w rękach prywatnych firm, co oznacza, że podlegają arbitralności rynku lub zarządzających nimi osób.

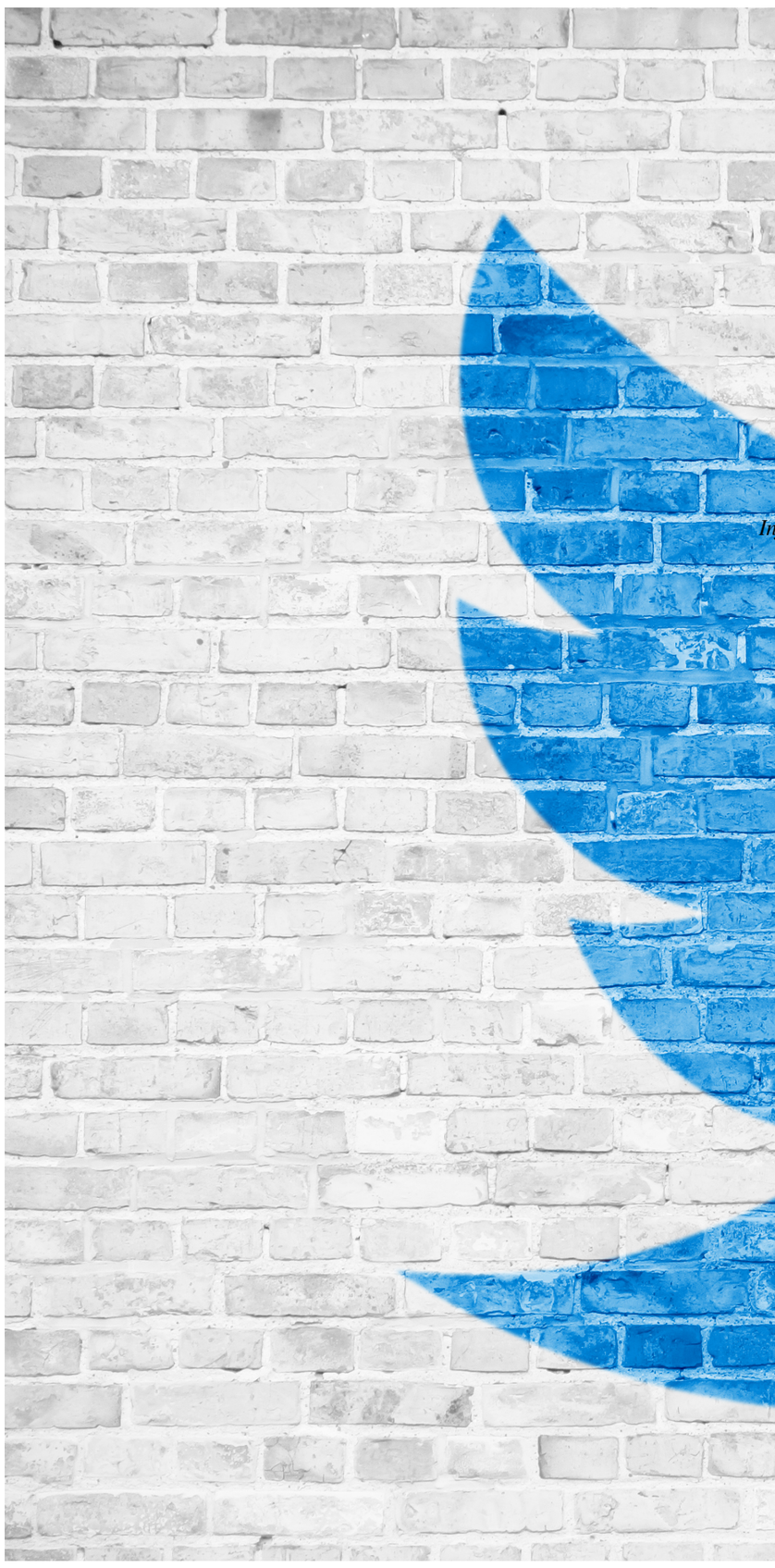

Ciąg dalszy na stronie 9

we to broń wojenna

Tymczasem rozwiązania technologiczne i prawne dotyczące mediów społecznościowych osiągnęły najniższy poziom. Zdjęcia publikowane w sieci rozprzestrzeniają się z ogromną prędkością. Widzieliśmy to przy ujęciach z niedawnej masakry w Buffalo, To tylko najnowszy przykład wadliwej moderacji. Te trudności da się rozwiązać tylko poprzez zmianę modelu zarządzania tymi nowymi miejscami władzy i wpływów. Stany Zjednoczone przechodzą jednak głęboki kryzys swoich instytucji, którego wynik nie jest pewny. Nie powinniśmy zatem spodziewać się, że to od nich przyjdzie odpowiedź na problemy związane z mediami społecznościowymi.

Dlaczego nie dochodzi do powstania konkurencyjnych sieci społecznościowych?

Ależ istnieją alternatywy, tylko obowiązujący aktualnie model ekonomiczny platform cyfrowych ogranicza nas do trzech czy czterech platform, których używamy na co dzień. Wystarczy, że jesteś na Facebooku, Twitterze czy TikTok i na pewno tam znajdziesz to, czego akurat szukasz.

Jeśli ten model paru oligopoli dzielących między siebie „rynek uwagi" zostanie zakłócony, to stanie się tak w wyniku przyjętych regulacji (szczególnie w zakresie mikrotargetowania politycznego) albo ich wewnętrznych problemów z utrzymaniem wyników. Pokazują to dane dotyczące programu Meta, który nie spełnia pokładanych w nim oczekiwań i nie zatrzymuje swoich użytkowników.

Młodzi ludzie wybierają chętniej inne sieci, na przykład TikToka, przez co Meta chce zmienić się w metawersum i w ten sposób rozkręcić swój rozwój. Ale to stwarza kolejne pytania o etycznej i politycznej naturze. Treści, które teraz mają wymiar komercyjny, w przyszłości mogą bowiem stać się częścią wojen poznawczych.

Przez to Stany Zjednoczone, myślące nad sposobem ograniczenia sieci społecznościowych poprzez odpowiednie regulacje, przyglądają się z uwagą temu, co dzieje się w Europie, szczególnie ustawie DSA (Digital Services Act), która ma regulować media społecznościowe.

Co w tej sytuacji powinna zrobić Europa?

Europa musi się przede wszystkim zatroszczyć o samą siebie. I część tej troski wyraża wspomniana ustawa o usługach cyfrowych. Opiera się ona na terytorializowaniu amerykańskich platform, przez co zostaniemy częściowo uwolnieni od Stanów. Wtedy zyskamy możliwość stworzenia mieszanego statusu prawnego, który będzie musiał opierać się na modelu publiczno-prywatnym, uwzględniając jednak model ekonomiczny i zarządzanie dostosowane do firm prywatnych, które stały się istotną przestrzenią publiczną, polityczną i medialną.

W praktyce nie możemy już odbijać się od nakazów regulacyjnych z jednej, a zasadami rynkowymi z drugiej strony. Te dwa interesy z natury są nie do pogodzenia, próba taka byłaby ślepym zaułkiem. DSA będzie jednak bardzo ważne w europejskich przemianach, ponieważ stać się może podstawą koniecznych reform strukturalnych. Tym razem nie możemy brać przykładu ze Stanów Zjednoczonych, tylko działać szybko i sprawnie.

Europejska Rada ds. Handlu i Technologii może stać się forum dyskusji dotyczących koniecznego zarządzania transatlantyckiego, które Europa powinna zainicjować. Te działania są tym bardziej istotne, że należy sprecyzować swój model w alternatywie do Chin i Rosji, gdyż ich techno-autorytarna wizja już rozwiązała ten problem – przynajmniej pozornie. To właśnie do tej dyskusji zmusza nas Musk.

* Elon Musk został pozwany przez inwestorów Twittera, którzy twierdzą, że manipulował on ceną akcji firmy, zbijając jej wartość, tak by zapłacić za platformę społecznościową dokładnie 44 miliardy dolarów, które przeznaczył na transakcje – poinformował Reuters.

Źródło: Le Point

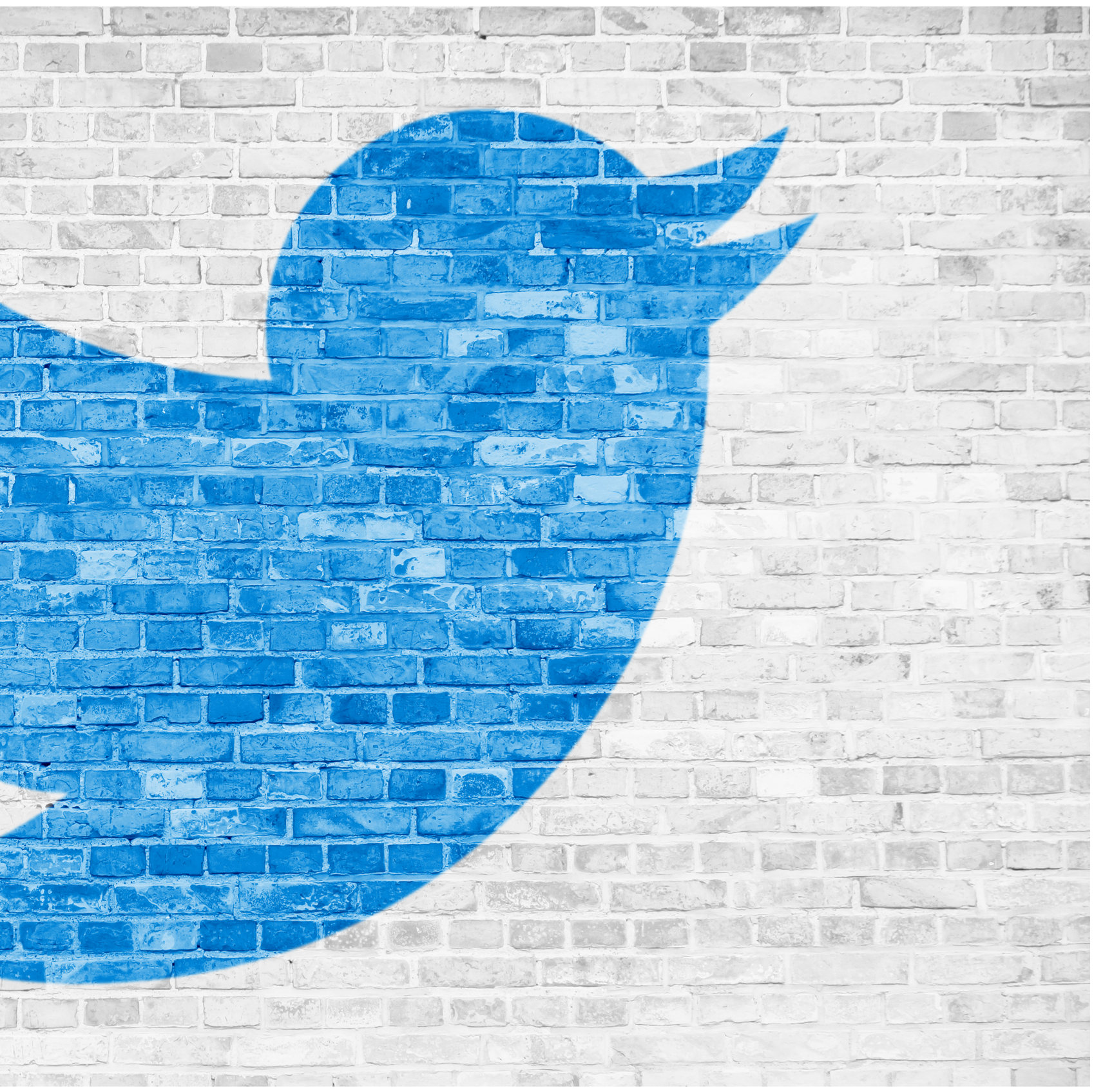

Fot. fewerton - stock.adobe.com

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

17 czerwca 2022 - Warszawa – Polska *www.nowyswiat24.com.pl* *Numer 9(21)/2022*

Izrael wraca do biznesu gazowego

Izraelska minister energetyki Karine Elharrar dynamicznie zareagowała na zmianę sytuacji energetycznej na świecie. Jeszcze pół roku temu zdecydowała o wstrzymaniu poszukiwań gazu ziemnego na izraelskich wodach, zamierzając skoncentrować wysiłki ministerstwa na odnawialnych źródłach energii

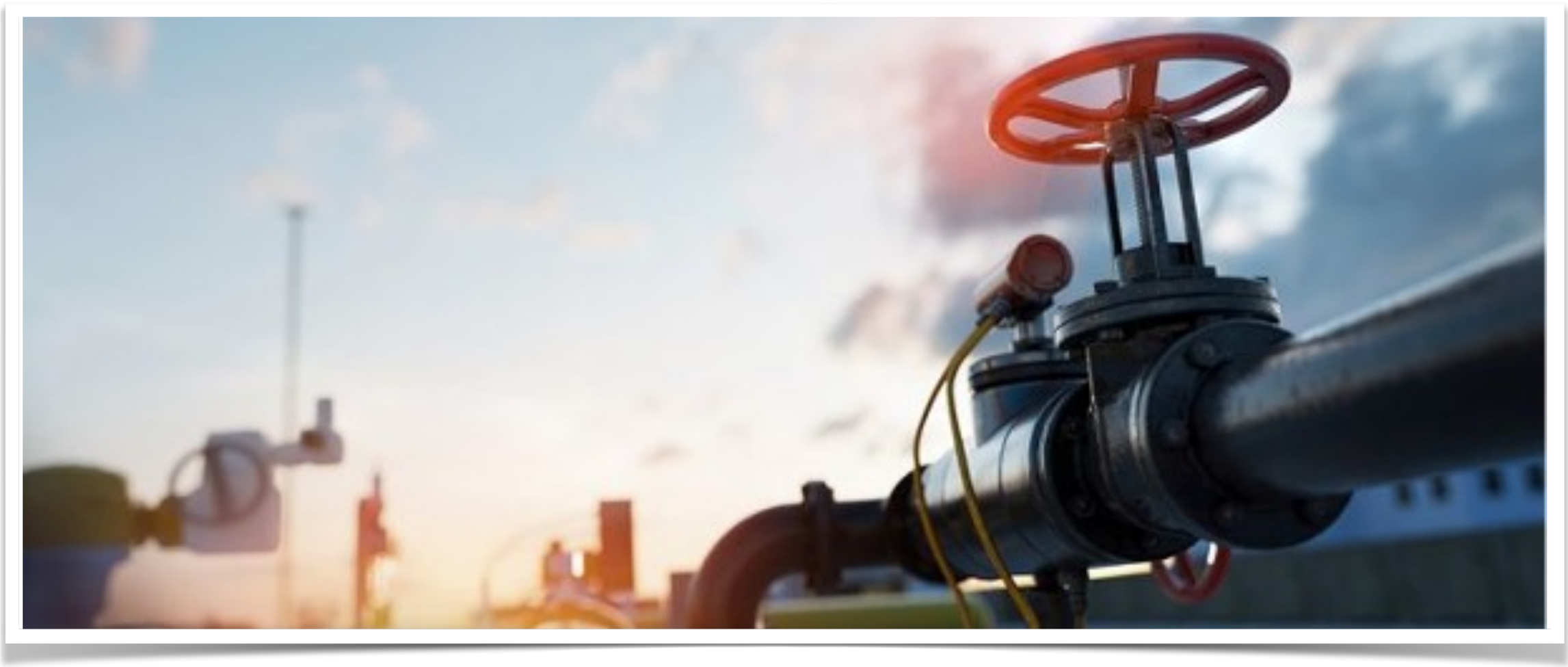

Za tą decyzją stała obawa o zmiany klimatyczne, do których eksploatacja gazu mogłaby się przyczyniać. Wydawało się, że będzie to trwały kierunek działania. Lecz niedawno Elharrar zatwierdziła nowy przetarg na licencje związane z poszukiwaniem gazu.

Minister energetyki nie była jednak zbyt chętna do dzielenia się informacjami o decyzjach w tej sprawie. Dopiero ostatnio wydała oficjalne oświadczenie. Wcześniejsze wiadomości przybierały formę ogólników. Wspominała o „prawdziwym i szczerym zaniepokojeniu wydarzeniami w Europie", „bezpieczeństwie energetycznym Izraela", „dywersyfikacji źródeł energii", czy „inwestycjach w źródła odnawialne".

Skąd więc ta zmiana? Powodem jest wojna w Ukrainie, która wywróciła do góry nogami światowe rynki energetyczne. Wszystkie kalkulacje w tej sprawie stały się po 24 lutego nieaktualne. Łącznie z pilną potrzebą łagodzenia zmian klimatycznych.

Istotnym elementem tych zawirowań jest dla Izraela fakt, że Europa jest zdecydowana uniezależnić się od rosyjskiego gazu i ropy. Dlatego potrzebuje alternatywnych źródeł. Nawet jeśli ten bliskowschodni kraj nie uratuje w ten sposób Starego Kontynentu, podobnie jak nie uratuje Ukrainy Żelazną Kopułą, to jednak może znacząco pomóc. Także dzięki współpracy z innymi producentami surowca w regionie jak Egipt i Cypr.

Unia Europejska zaopatrywana przez lata w tani surowiec z Rosji nie była zainteresowana egipskimi dostawami. Tamtejszy produkt musi być on bowiem dostarczany w postaci droższego skroplonego gazu ziemnego. O braku porozumienia zadecydowały też inne względy. Prezydent Egiptu Abdel Fattah al-Sissi był źle oceniany pod względem przestrzegania praw człowieka. Dodatkowo Europa starała się zminimalizować emisję CO_2 i nie chciała więcej paliw kopalnych. Obecnie jednak wszystko zeszło na dalszy plan.

Wojna w Ukrainie zmieniła globalną energetykę w nieco mniejszym stopniu niż chciałaby tego izraelska minister i inni. Światowe ceny gazu ziemnego gwałtownie wzrosły jeszcze przed rozpoczęciem walk. Był to efekt rosnącego popytu związanego z ustąpieniem pandemii oraz faktem, że Europa ograniczała zużycie paliw kopalnych szybciej, niż rozwijała alternatywne źródła energii. A te ostatnie nie okazały się aż tak niezawodne.

Mimo wszystko pierwotna decyzja o wstrzymaniu nowych poszukiwań gazu była błędna. Podobnie jak linearne myślenie o problemie energii. Zależność nie polega bowiem tylko na rosnącym wykorzystaniu źródeł odnawialnych i malejącym zużyciu paliw kopalnych. Cała transformacja jest znacznie bardziej skomplikowana i obarczona ryzykiem, co pokazała wojna w Ukrainie.

Zmiana decyzji przez Izrael powinna doprowadzić do zwiększenia produkcji. Wymaga to jednak czasu na proces organizowania przetargów, składania i rozpatrywania ofert oraz prowadzenia prac poszukiwawczych przez zwycięzców. I to przy założeniu, że znajdą oni nadające się do komercyjnej eksploatacji zasoby. Odkrycie złoża o wielkości 8 mld metrów sześciennych dokonane ostatnio przez firmę Energean znacznie rozminęło się z oczekiwaniami.

Organizacje ekologiczne, niezadowolone ze zmiany kursu dokonanego przez minister energetyki, zauważają, że konflikt w Ukrainie może się skończyć, zanim zostanie uruchomiona izraelska produkcja, a wraz z nią popyt. W takiej sytuacji fiasko dotknie przede wszystkim firmy, które otrzymają koncesje na wiercenia. Z drugiej strony trudno sobie wyobrazić, żeby rynek wrócił do stanu sprzed wojny. Europa wyciągnęła wnioski i będzie chciała zdywersyfikować swoje źródła energii, niezależnie od aktualnej sytuacji geopolitycznej.

Kolejnym problemem jest sprawne i tanie dostarczenie gazu na Stary Kontynent. Najlepszym wyjściem byłoby zbudowanie podmorskiego rurociągu, który bezpośrednio dostarczałby izraelski i cypryjski gaz poprzez Grecję. Jednak na drodze ku temu istnieje wiele przeszkód. Ogromne koszty budowy, trudności technologiczne (biegłby przez bardzo głębokie wody) i ostry opór polityczny ze strony Turcji. Dla obecnego prezydenta tego kraju Recepa Tayyipa Erdoğana marzeniem jest podmorski rurociąg do Turcji. Połączyłby się z obecną siecią rurociągów transportujących gaz z Rosji i Azji Środkowej do Europy.

Chociaż turecki przywódca wypowiada się ostatnio w przyjaznym tonie na temat turecko-izraelskiego gazociągu, to Izrael pozostaje ostrożny w podejmowaniu jakichkolwiek długotrwałych zobowiązań. Alternatywą pozostaje wciąż eksport izraelskiego gazu do Egiptu, skraplanie go w dwóch zakładach LNG w tym kraju, a następnie ponowne wysyłanie do Europy. Taki łańcuch dostaw już istnieje, choć w skromnej skali. Cena jest na pewno przeszkodą, ale w aktualnej sytuacji zdesperowana Europa byłaby, może skłonna to przeoczyć. Ta opcja zapewnia jednak niewielki eksport, chyba że Egipt zdecyduje się na budowę nowych instalacji LNG i rozbuduje już istniejące. Pozwoliłoby to zwiększyć dostawy. Izrael musiałby z kolei zbudować nowe rurociągi, którymi gaz będzie przesyłany do zakładów.

Egipski rząd jest skłonny podjąć takie działania, ale wymaga to czasu. Obecne dostawy to zaledwie 2 mld metrów sześciennych gazu, gdy tymczasem dostawy z Rosji wynosiły w 2021 r. 200 mld metrów sześciennych.

Nie wiadomo też, czy takim pomysłem będą zainteresowane międzynarodowe firmy energetyczne. Pierwsze trzy aukcje poszukiwawcze w Izraelu nie wzbudziły wielkiego zainteresowania. Ale od tego czasu amerykański potentat Chevron wszedł do izraelskiego sektora tylnymi drzwiami, kupując Noble Energy. Podobnie postąpiła emiracka spółka Mubadala, kupując udziały w polu Tamar.

Z pewnością jednak w obliczu obecnej wojny i ogromnej zmiany globalnej dynamiki energetycznej Izrael ma duże szanse na zyskanie trwałych odbiorców gazu. Wszystko wyjaśni się w ciągu najbliższych miesięcy, gdy rozpoczną się przetargi.

Źródło: Haaretz

Potęga Big Tech niepokoi. Amerykanie biją na alarm

Firmy z sektora Big Tech w Stanach Zjednoczonych mają zbyt dużą kontrolę ekonomiczną i polityczną nad społeczeństwem. Zwłaszcza nad branżą informacyjną i wydawniczą. To efekt braku dostosowanych przepisów antymonopolowych do nowych realiów. Potencjalne przejęcie Twittera przez Elona Muska — czyli kupno przez najbogatszą osobę na świecie jednej z najpotężniejszych platform społecznościowych — uwypukla jeden z największych problemów z Big Tech - czytamy w serwisie dailycaller.com

Fot.Ascannio - stock.adobe.com

„Władzę w firmach Big Tech — jeśli chodzi o zarządzanie serwisami takimi jak Facebook i Google News — sprawuje kilka osób. Często kierują się one chęcią zysku i promowania własnej ideologii lub światopoglądu. Niekoniecznie zaś autentycznym pragnieniem zagwarantowania wolnej i zróżnicowanej prasy" — czytamy w serwisie dailycaller.com.

Big Tech manipuluje rynkiem branży informacyjnej i wydawniczej. Z tego powodu tysiące lokalnych i mniejszych wydawnictw informacyjnych zostało w ostatnich latach zmuszonych do zamknięcia swoich oddziałów. Szczególnie dotknęło to publikacji konserwatywnych.

Jest to — według autora tekstu — pogwałcenie Pierwszej Poprawki do Konstytucji Stanów Zjednoczonych, a tym samym zagrożenie dla demokracji.

Władza ekonomiczna i polityczna

Nowe badania sondażowe pokazują, że amerykańska opinia publiczna dostrzega to zagrożenie. Chce, by wybrani przez nią urzędnicy podjęli odpowiednie działania.

Badania przeprowadzone przez Schoen Cooperman Research ujawniają powszechne obawy związane z władzą i manipulacjami stosowanymi przez Big Tech. Pokazują także silne poparcie dla reform mających na celu powstrzymanie tych monopoli.

Znacząca większość Amerykanów jest zaniepokojona ekonomiczną i polityczną władzą firm Big Tech (74 proc.). Duży odsetek ankietowanych popiera zwiększenie regulacji rządowych dotyczących tych firm w celu ograniczenia ich ekonomicznej i politycznej władzy (63 proc.).

Prawie czterech na pięciu Amerykanów obawia się, że firmy Big Tech mają zbyt dużą władzę nad tymi branżami (79 proc.). Prawie ośmiu na dziesięciu uważa, że manipulują nimi dla własnych korzyści (78 proc.). Trzy czwarte zgadza się z opinią, że „monopol Big Tech w branży informacyjnej i wydawniczej stanowi zagrożenie dla wolnej prasy i jest niesprawiedliwy dla wydawców, zwłaszcza małych i lokalnych placówek" (76 proc.).

Podstawa prawna do negocjacji

Oprócz ogólnego zaniepokojenia problemem Amerykanie popierają podjęcie przez Kongres działań mających na celu przywrócenie prasie uczciwości, równowagi i wolności. Respondenci zostali zapytani o projekt ustawy proponowanej w Kongresie, znanej jako Journalism, Competition, and Preservation Act (JCPA).

Może ona dać wydawcom wiadomości podstawę prawną do negocjowania uczciwych warunków korzystania z ich treści przez firmy z sektora Big Tech. Daje również szansę na wyraźne ograniczenie ekonomicznej i politycznej potęgi tych firm.

70 proc. Amerykanów popiera uchwalenie przez Kongres ustawy JCPA. Po zapoznaniu się z krótkim opisem jej zawartości 64 proc. uważa, że jest to ważne. W stosunku cztery do jednego dorośli mieszkańcy USA chętniej, a nie rzadziej, poparliby kandydata do Kongresu, który popiera JCPA.

Przetrwanie amerykańskiej demokracji

„Z mojego doświadczenia zawodowego ankietera, który od ponad czterdziestu lat zajmuje się badaniem opinii publicznej, wynika, że rzadko zdarza się, aby jakaś kwestia lub akt prawny uzyskał tak duże poparcie społeczne" — pisze autor tekstu.

„Wyniki stanowią wyraźne wezwanie Kongresu do działania, a urzędnicy obu partii mają teraz mandat od społeczeństwa do powstrzymania Big Tech poprzez wprowadzenie JCPA lub podobnych reform" — dodaje.

„Przetrwanie amerykańskiej demokracji zależy od tego, czy nasi przywódcy ochronią wolność słowa i zapewnią sprawiedliwą gospodarkę. Kongres musi wypełnić swój obowiązek, uchwalając ustawę taką jak Journalism Competition and Preservation Act" — konkluduje serwis dailycaller.com.

Źródło: dailycaller.com

Ile botów jest na Twitterze?

Izraelska firma z obszaru cyberbezpieczeństwa twierdzi, że nawet 12 proc. ruchu na Twitterze może być generowane przez boty – informuje „The Jerusalem Post"

W niedawno opublikowanym badaniu firmy CHEQ podano wyniki, według których 11,71 proc. wejść na Twittera to wizyty botów albo fałszywych kont – spambotów, botnetów, scraperów, farm kliknięć, narzędzi do automatyzacji oraz różnych innych fałszywych form automatycznie generowanego ruchu.

CHEQ przeprowadziło ponad 2 tys. testów z zakresu cyberbezpieczeństwa, aby ustalić autentyczność kont na Twitterze. Przeanalizowano 5,21 mln wizyt na stronach internetowych, na które przekierowywały linki zamieszczone na Twitterze. Okazało się, że 617 tys. z nich klasyfikowało się jako „nieważne", czyli wywołane nie przez człowieka.

„Nasze badanie dotyczyło użytkowników, którzy przeszli z Twittera na inne strony" – wyjaśnił Guy Tytunovich, założyciel i dyrektor generalny CHEQ. „Ale jeśli weźmiemy pod uwagę, że wiele botów nie klika na inne strony i pozostaje tylko na Twitterze, to wydaje się bardzo prawdopodobne, że ruch botów wewnątrz samej platformy może być znacznie wyższy niż 12 proc.".

Czy sztuczny ruch generowany przez boty może mieć wpływ na planowany przez Elona Muska zakup Twittera za 44 mld dolarów?

Żyjemy w „erze fałszywej sieci", gdzie „boty, złośliwi użytkownicy i narzędzia do automatyzacji stanowią dużą część całego ruchu w sieci" – zaznacza Guy Tytunovich.

Elon Musk, prezes Tesli, zamierzał kupić Twittera za 44 mld dolarów, ale wstrzymał transakcję i poprosił platformę społecznościową o dowód, że spamboty nie przekraczają 5 proc. kont użytkowników.

Musk przyznał, że w jego ocenie konta spamerskeie na Twitterze mogą stanowić nawet 20 proc. ogólnej puli użytkowników – to dużo więcej niż oficjalne szacunki obecnych właścicieli, którzy przyznają się do 5 proc. fałszywych kont.

„Nie można płacić tej samej ceny za coś, co jest znacznie gorsze, niż twierdzili" – powiedział Musk na konferencji All-In Summit 2022 w Miami.

W konsekwencji zapytano Muska, czy zdecyduje się na realizację transakcji, jeśli cena będzie niższa. Prezes Tesli odpowiedział: „Cóż, nie jest to wykluczone. Ale im więcej pytań zadaję, tym bardziej rosną moje obawy".

Natomiast na swoim koncie na Twitterze 12 maja Musk napisał o swych obawach: „20 proc. fałszywych/spamowych kont, to 4 razy więcej niż twierdzi Twitter, ale procent może być jeszcze »dużo« wyższy. Moja oferta była oparta na tym, że dokumenty SEC Twittera są dokładne. Wczoraj CEO Twittera publicznie odmówił przedstawienia dowodu na istnienie <5 proc. Ta transakcja nie może ruszyć do przodu, dopóki tego nie zrobi".

Przedstawiciele spółki poinformowali jedynie, że transakcja musi zostać zatwierdzona przez właścicieli akcji Twittera oraz że spodziewają się jej domknięcia jeszcze w 2022 r. Warto jednak mieć na uwadze, że Twitter zobowiązał się do sfinalizowania transakcji po wcześniej uzgodnionej cenie 44 mld dolarów i na uzgodnionych już warunkach.

Źródło: The Jerusalem Post

Sankcje na półprzewodniki mogą zapobiec inwazji Chin na Tajwan

Emmanuel Navon jest autorem dyplomatycznej historii państwa Izrael („L'Étoile et le Sceptre", Éditions Hermann). We Francji przebywał z okazji ważnej konferencji na temat Porozumień Abrahamowych w Senacie, zorganizowanej przez sieć Elnet France

Stany Zjednoczone użyją swojego wojska do obrony Tajwanu w sytuacji, gdyby Pekin próbował przejąć wyspę siłą – zapowiedział prezydent Joe Biden. Nasuwa się pytanie, jak dalece skuteczną rolę w zniechęcaniu Chin do rozpoczęcia wojny spełniłaby też groźba, że w momencie, gdy wyspa zostanie zaatakowana, zostaną nałożone sankcje na półprzewodniki.

Obecnie na Tajwan przypada 92 proc. światowej produkcji chipów zasilających najbardziej zaawansowane urządzenia na świecie. Co ciekawe, chipy te mogą uchronić wyspę przed chińską agresją. Półprzewodniki są bowiem najważniejszym importem Chin. Pekin wydaje na nie więcej niż na ropę naftową.

Gospodarka Chin mocno by ucierpiała w przypadku, gdyby kraj został odcięty od tajwańskiej technologii. Jeszcze większą katastrofą byłoby utrata zaawansowanych procesorów ze wszystkich produkujących je krajów.

Potrzebny jest jednak sojusz między państwami, który umożliwiłby nałożenie takich sankcji. Świadomy tego Waszyngton zaproponował niedawno utworzenie sojuszu przemysłu półprzewodnikowego z Tajwanem, Koreą Południową i Japonią. W ten sposób te kraje zademonstrowałby wspólne zaangażowanie na rzecz utrzymania status quo w Cieśninie Tajwańskiej. Pekin natomiast musiałby zdać sobie sprawę, jak ogromne koszty poniesie w przypadku inwazji.

Sankcje na półprzewodniki byłyby dla Chin niezwykle bolesne. Przykładem jest Huawei Technologies. Już rok temu chińska firma poinformowała, że przychody za bieżący rok spadły w stosunku do poprzedniego o 29 proc. Powodem były sankcje USA, które ograniczyły możliwości sprzedaży jej urządzań. „Nie mając dostępu do chipów produkowanych przez Taiwan Semiconductor Manufacturing Co. (TSMC), Huawei z trudem pokonuje drogę do nowej gałęzi biznesu, która wymaga mniej zaawansowanych tranzystorów i jest daleka od wyjścia z lasu" – pisze „Nikkei Asia".

To samo czekałoby cały chiński przemysł technologiczny, gdyby wprowadzono karne embargo na chipy.

Chin są coraz bardziej zaawansowane w dziedzinie projektowania układów scalonych, co jeszcze bardziej uzależnia je od zagranicznych producentów. Oppo, UNISOC, Horizon Robotics i Alibaba Group Holding szybko wypełniają lukę pozostawioną przez Huawei w najbardziej zaawansowanych procesach technologicznych TSMC. Używają tajwańskich układów scalonych, które zasilają wszystko, od komputerów po stacje bazowe piątej generacji (5G) technologii mobilnej. W ciągu trzech miesięcy do końca marca te chińskie firmy zapewniły 11 proc. globalnych przychodów firmy. Stanowi to niemal dwukrotność zeszłorocznego poziomu.

Tego rodzaju układy scalone, poza TSMC, produkują jedynie Samsung Electronics i Intel. W przypadku nałożenia sankcji wszystkie trzy firmy przestaną dostarczać chipy do Chin.

Rosja Władimira Putina jest w stanie na razie wytrzymać sankcje energetyczne. W przypadku Chin sankcje dotyczące półprzewodników przyniosłyby katastrofalne skutki dla gospodarki. Xi liczy na to, że dzięki przemysłowi high-tech uda mu się podwoić produkt krajowy brutto do 2035 r. Zastój gospodarczy mógłby okazać się zgubny dla przywódcy Chin.

„Sankcje stawiają Pekin przed bardzo jasnym wyborem: albo podbić Tajwan, albo utrzymać się w dobrobycie. Odkładanie decyzji na później to odmowa inwazji" – zauważa „Nikkei Asia".

Sankcje dotyczące półprzewodników niekoniecznie zmusiłyby zachodnie marki do wycofania się z Chin, tak ja to miało miejsce w przypadku Rosji. Wall Street pozostaje wektorem chińskich wpływów w amerykańskiej gospodarce, a Chiny wiedzą, że wiele firm prawdopodobnie będzie starało się nie wychylać w przypadku konfliktu zbrojnego.

Jednak sankcje dotyczące półprzewodników wymagają zaangażowania tylko kilku firm, co czyni je potężnym zagrożeniem, którego Pekin nie może zignorować. Zakaz eksportu wprowadzony przez kilku wybranych producentów chipów spowodowałby poważne straty.

Firmy zagraniczne, mające produkcję w Chinach, też odczułyby sankcje. Podobnie jak w przypadku zakręcenia kurka z rosyjskim gazem, rekonfiguracji łańcuchów dostaw układów scalonych z dala od Chin nie da się przeprowadzić z dnia na dzień. Informując o gotowości do wprowadzenia sankcji, USA i ich sojusznicy mogą uprzedzić branżę, tak aby sankcje stały się częścią profilu ryzyka związanego z działalnością w Chinach, a firmy mogły zawczasu przygotować plany awaryjne.

Chiny mogą jednak zdecydować się na kontrsankcje, na przykład przestać eksportować metale ziem rzadkich. One także są niezbędne w zaawansowanych technologicznie maszynach. Jedyne co mogą zrobić Stany Zjednoczone i ich sojusznicy, to spróbować zapobiec takiej sytuacji. Przede wszystkim muszą zmniejszyć zależność od Chin w zakresie tych elementów. Liam Gibson, w swoim artykule „Breaking China's grip on rare earths should be an AUKUS mission", argumentował, że AUKUS powinien zabezpieczyć alternatywne łańcuchy dostaw metali ziem rzadkich dla regionu Indo-Pacyfiku.

Sankcje na półprzewodniki mogą być potężnym narzędziem ekonomicznym zniechęcającym Chiny do ataku na Tajwan. Jednak jeszcze istotniejsza jest groźba interwencji militarnej USA. Jeśli inwazja rzeczywiście nastąpi, Stany Zjednoczone muszą stanąć w obronie Tajwanu.

Lepiej jednak byłoby zapobiec atakowi, do czego może przyczynić się groźba nałożenia sankcji na chipy. Jeśli będzie ona wystarczająco wiarygodna, może uświadomić Pekinowi ekonomiczne koszty konfliktu i pomóc uniknąć katastrofy.

Źródło: Asia Nikkei

Ofensywa latynoamerykańskiej lewicy

Lewica przejmuje władzę w Ameryce Łacińskiej – informuje The New York Times

Pod koniec 2021 r. w Chile i Hondurasie wybory prezydenckie wygrali kandydaci o lewicowych poglądach, zastępując na tym stanowisku przywódców prawicowych. To kolejna tego typu zamiana w Ameryce Łacińskiej. Lewicowi politycy są także faworytami do zwycięstwa w wyborach prezydenckich w Kolumbii i Brazylii. Jeżeli tak się stanie, lewica i centrolewica przejmie władzę w państwach będących sześcioma największymi gospodarkami regionu.

Powodów takiej zmiany jest wiele. Problemy gospodarcze i bieda, rosnące nierówności, nastroje antyrządowe oraz niewłaściwe działania w kwestii pandemii. W Kolumbii stałą przewagę w sondażach utrzymuje były burmistrz Bogoty Gustavo Petro, należący w przeszłości do miejskiej partyzantki.

Lewica obiecuje sprawiedliwszy podział dóbr, lepsze usługi publiczne i znacznie bardziej rozbudowane programy socjalne. Jednak nowi przywódcy napotykają na liczne przeszkody. Przede wszystkim ograniczenia gospodarcze i opozycję ustawodawczą oraz czujnych wyborców pilnie przyglądających się, czy politycy wywiązują się ze swoich zobowiązań.

Zdaniem analityków wzrost znaczenia lewicy może wzmocnić Chiny oraz osłabić Stany Zjednoczone. USA rywalizuje o wpływy w regionie z tą nową grupą latynoamerykańskich przywódców. Zwłaszcza że w obliczu słabego rozwoju gospodarczego są oni bardziej otwarci na pomoc Pekinu w postaci pożyczek i inwestycji w infrastrukturę. Utrudnia to także Stanom Zjednoczonym dalsze izolowanie autorytarnych lewicowych reżimów w Wenezueli, Nikaragui i na Kubie.

Jak stwierdził Pedro Mendes Loureiro, profesor studiów latynoamerykańskich na Uniwersytecie w Cambridge, w obliczu rosnącej inflacji i stagnacji gospodarczej nowym przywódcom Ameryki Łacińskiej trudno będzie wprowadzić realne zmiany w odniesieniu do głębi problemów. Jego zdaniem wyborcy w pewnym stopniu „wybierają lewicę tylko dlatego, że jest ona w tej chwili opozycją".

Ubóstwo w regionie, w którym krótkotrwały boom surowcowy umożliwił milionom ludzi wejście do klasy średniej na początku XXI wieku, osiągnęło najwyższy poziom od 20 lat. W kilku krajach bezrobocie jest dwucyfrowe, a ponad 50 proc. pracowników jest zatrudnionych w szarej strefie. Do tego dochodzą skandale korupcyjne, zniszczona infrastruktura i chroniczne niedofinansowanie opieki zdrowotnej i edukacji. To wszystko znacznie osłabia wiarę w rządzących i instytucje publiczne.

Źródło: The New York Times

Kolumbia pomiędzy dwoma ekstremizmami

Ku ogólnemu zaskoczeniu w drugiej turze wyborów prezydenckich w Kolumbii nie będzie kandydata z tradycyjnych partii. Stało się tak po raz pierwszy w historii kraju – zauważa „El Mundo"

Rodolfo Hernández, reprezentant głosów antyestablishmentowych zdobywając 28 proc. głosów, pokonał, reprezentującego centroprawicę i prawicę, Fico Gutiérreza. Ten biznesmen, mający poparcie m.in. partii konserwatywnych i liberalnych, będzie walczył z lewicowcem Gustavo Petro o fotel prezydenta w drugiej turze wyborów.

Pierwsza tura odbyła się bez większych incydentów. Kandydatów ucieszył szczególnie fakt, że Registraduría szybko podała wyniki.

Wielcy przegrani i wygrani

77-letni Rodolfo Hernández jest biznesmenem-milionerem. W latach 2016-2019 był burmistrzem Bucaramangi i jest to jedyna funkcja publiczna, jaką dotychczas sprawował. Swoją kampanię opłacił z własnej kieszeni. Co nietypowe, nie uczestniczył w debatach. Stał się natomiast gwiazdą TikToka. Prezentujował bardzo silny dyskurs przeciwko klasie politycznej i korupcji. Uzyskał w wyborach 28 proc. głosów w porównaniu z 24 proc. głosów Gutiérreza. Dzięki tej różnicy 19 czerwca będzie walczyć w drugiej turze wyborów.

62-letni Gustavo Petro, lider Pacto Histórico, skrajnie lewicowego ruchu, liczył na ponad połowę plus jeden głos. Otrzymał jednak znacznie mniej, bo 40,3 proc. głosów. Podobnie było w 2018 r., kiedy Iván Duque pokonał go o dwa miliony głosów.

W ostatniej debacie prezydenckiej Sergio Fajardo wykazał, posługując się danymi liczbowymi opracowanymi przez jego zespół ekonomiczny, że gdyby Petro miał zrealizować to, o czym mówi, musiałby podwoić planowaną reformę podatkową i nawet z niej nie byłby w stanie sfinansować swoich obietnic.

Fico Gutiérrez związał się z partiami, które się skompromitowały, oraz z rządem Duque, który cieszy się bardzo niską popularnością. Według sondaży z połowy maja zająłby jednak drugie miejsce. Zgubiły go ostatnie trzy tygodnie, kiedy to Hernández zaczął systematycznie zyskiwać zwolenników. Poparli go ci, którzy obawiali się wygranej Petro. Postrzegają go jako jedynego kandydata, który może pokonać przedstawiciela lewicy.

Petro od początku był pewny zwycięstwa w pierwszym etapie. Jednak radość popsuł mu fakt, że nie przekroczył progu, jaki dawały mu sondaże. W przypadku kilku uzyskał nawet kilka punktów mniej. Na dodatek drugim kandydatem na prezydenta została osoba, której jego otoczenie nie chciało widzieć w kolejnej turze wyborów. Zwłaszcza że z dużym prawdopodobieństwem wyborcy, którzy popierali Fico Gutiérreza, chcąc teraz zablokować drogę Petro, będą głosować na Rodolfo Hernándeza.

„Wybory prezydenckie w moim kraju są ostatnim rozdziałem w bitwie o zbiorową wyobraźnię w Ameryce Łacińskiej. Niestety dla nas wszystkich, udało się wygrać radykalnej lewicy" – stwierdził Francisco Santos. Ten były prezydent, następca Álvaro Uribe, obecnie ambasador w Waszyngtonie przy obecnym rządzie Ivána Duque i analityk polityczny, powiedział też: „Fakt, że Pedro Castillo wygrał w Peru, a Gabriel Boric w Chile – by wymienić tylko dwóch – jest wynikiem strategii realizowanej od wielu lat, w której sieci społecznościowe pełnią funkcję wzmacniaczy. Udało im się narzucić narrację, która jest destrukcyjna dla demokracji i władzy, a także dla wolności przedsiębiorczości i prasy. Mówią, że oprócz nich wszyscy urzędnicy są skorumpowani. Mówią, że media są posłuszne tylko komercyjnym i faszystowskim interesom, a służba zdrowia i edukacja służą tylko bogatym, mimo ogromnego postępu, jaki dokonał się w ostatnich dziesięcioleciach".

Oprócz Gutiérreza największym przegranym tegorocznych wyborów jest Sergio Fajardo. Ten szef tak zwanej Koalicji Nadziei, doktor matematyki, na początku roku był jednym z najpoważniejszych kandydatów. Ostatecznie jednak osiągnął najgorszy wynik w swojej długiej karierze politycznej, poniżej 5 proc. Znacznie niższy od uzyskanego przez niego w 2018 r. Wraz z nim przegrał centryzm, któremu niektórzy wieszczyli zwycięstwo, w związku z tym, że w Kolumbii ludzie są już zmęczeni dominującą w polityce polaryzacją.

Wyścig po prezydenturę trwa

„Od poniedziałku rozpoczyna się ostatnia prosta w wyścigu między kandydatem radykalnej lewicy a samotnym strażnikiem, który nie ma prawie żadnej drużyny i do dyspozycji tylko Ingrid Betancurt, która dołączyła do jego kampanii 15 dni temu i mogłaby objąć tekę w jego rządzie, gdyby wygrał 19 czerwca" – pisze „El Mundo".

Wynik pierwszej tury spowodował wzrost nieufności wobec organów wyborczych, jakiego nie było nigdy wcześniej. Katherine Miranda, deputowana Partii Zielonych, wyjaśnia tę sytuację: „Polaryzacja, której doświadczamy w Kolumbii, będzie trwała niezależnie od tego, kto wygra wybory. Ktokolwiek przegra, będzie krzyczał o oszustwie, ponieważ to, co się dzieje, jest kryzysem nie tylko demokracji, ale także instytucjonalnym, i to mnie bardzo martwi".

Źródło: El Mundo

Chińczycy nie chcą kredytów

Gospodarka Chin została zastopowana przez kolejne fale koronawirusa. „Można zaprowadzić konia nad rzekę, ale nie można go zmusić do picia" – „El Economista" przypomina stare indiańskie przysłowie, bardzo adekwatne do tego, co dzieje się obecnie w Państwie Środka. Bank centralny pompuje płynność z powrotem do systemu, jednak gospodarstwa domowe i przedsiębiorstwa nie chcą się zadłużać

Władze chińskie borykają się z trudnym zadaniem przekonania Chińczyków do inwestowania i konsumpcji. Jest to tym trudniejsze, że epidemie i ograniczenia w dostępie do żywności zniszczyły ich zaufanie.

W kwietniu wzrost akcji kredytowej okazał się najniższy od pięciu lat. Nic nie wskazuje, że coś zmieniło się w maju. Banki mają trudności ze znalezieniem chętnych do zaciągania kredytów. Dane wskazują, że sprzedaż domów wciąż spada. Przekłada się to na brak apetytu na kredyty hipoteczne. Zmniejszył się też popyt na kredyty wśród deweloperów i sektorów związanych z branżą nieruchomości.

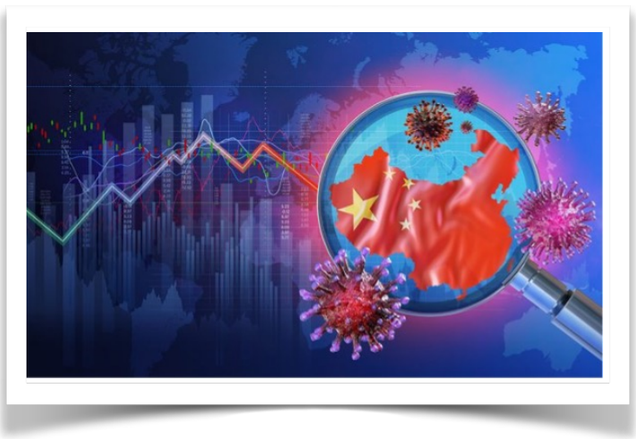

Chińczycy wolą oszczędzać

W Chinach wciąż pojawiają się nowe ogniska zachorowań na COVID-19. Wprowadzone ograniczenia potrafią sparaliżować działalność gospodarczą na wiele tygodni. Najnowszym przykładem jest Szanghaj. Przychody firm w takiej sytuacji gwałtownie spadają, zyski się zmniejszają, gdyż produkcja z konieczności jest ograniczana. W efekcie wielu pracowników traci pracę.

W warunkach tak dużej niepewności, jaka panuje wokół chińskiej gospodarki, firmy wstrzymują plany ekspansji. Także ludzie wolą oszczędzać niż zaciągać kredyty.

Wszystko wskazuje na to, że ożywienie gospodarcze w Chinach będzie słabe nawet w trzecim kwartale. Inwestycje bowiem najczęściej wymagają wzięcia kredytu.

„Spowolnienie popytu na kredyty wskazuje na pogorszenie się oczekiwań uczestników rynku i spowolnienie ekspansji gospodarczej" – mówi Xing Zhaopeng, starszy strateg ds. Chin w Australia & New Zealand Banking.

Nikt nie chce pieniędzy

Tymczasem chińscy ekonomiści i przywódcy naciskają na banki, aby udzielały więcej kredytów. Bez większych skutków. „Ludowy Bank Chin wezwał instytucje krajowe do »zrobienia wszystkiego, co możliwe«, aby zwiększyć akcję kredytową. Wywiera również presję na banki, aby obniżyły oprocentowanie kredytów hipotecznych i ustabilizowały akcję kredytową w sektorze nieruchomości" – pisze „El Economista".

Obecnie system finansowy Chin jest pełen gotówki. I nawet złagodzenie polityki pieniężnej przez bank centralny będzie prawdopodobnie coraz mniej skuteczne w stymulowaniu wzrostu gospodarczego. Nie pomogą obniżki stóp procentowych i zasilenie płynnością.

Niektóre stopy procentowe na rynku międzybankowym drastycznie spadły do poziomu bliskiego o proc. W efekcie banki pożyczają sobie nawzajem pieniądze po zerowych kosztach. A ponieważ nikt ich nie chce, płynność finansowa nie przenika do gospodarki realnej.

„Bliska zeru stopa procentowa sugeruje, że nadal panuje nierównowaga między podażą a popytem na kredyty" – tłumaczy Wang Yifeng, główny analityk bankowy w Everbright Securities.

Nie ustają apele do banków o zwiększenie akcji kredytowej. Bank centralny wezwał pod koniec maja duże instytucje finansowe do „wzięcia na siebie odpowiedzialności i wykorzystania wszystkich zasobów w celu skutecznego połączenia z popytem na kredyty i wzmocnienia transmisji polityki".

Mogło to skłonić te instytucje, zwłaszcza duże banki państwowe i innych kredytodawców, do przyspieszenia akcji kredytowej w ostatnim tygodniu maja – uważa Wang z Everbright Securities.

Nie sprzedają długu

Agencja Bloomberg podaje, że w Chinach w maju po raz pierwszy od siedmiu miesięcy wartość wyemitowanych krajowych obligacji korporacyjnych spadnie poniżej wartości obligacji zapadających i wyniesie 102 mld juanów (15,3 mld USD). Firmy nie są zainteresowane sprzedażą długu.

Spadek nastąpił pomimo obniżenia kosztów zadłużenia. Z danych Agencji Bloomberg wynika, że na początku maja spread między trzyletnimi krajowymi obligacjami korporacyjnymi o ratingu AA a obligacjami rządowymi zmniejszył się do poziomu nienotowanego od 2007 r.

W systemie bankowym jest nadmiar gotówki. „Stopa odkupu z dnia na dzień" – główny wskaźnik kosztów pożyczek międzybankowych, utrzymuje się poniżej 2 proc. od ponad dwóch miesięcy. Stanowi to najdłuższy okres od dwóch lat.

Pakiet stymulacyjny

Chiński rząd robi wszystko, by ożywić gospodarkę. 31 maja został przedstawiony pakiet 33 środków fiskalnych, finansowych, inwestycyjnych i przemysłowych.

Chociaż Rada Państwowa (organ wykonawczy) ogłosiła już w zeszłym tygodniu pakiet pomocowy, tym razem podkreśla znaczenie „ożywienia inwestycji i konsumpcji". Silnie wspierane będą inwestycje w infrastrukturę transportową oraz zakup samochodów i sprzętu gospodarstwa domowego.

Regiony mają za zadanie promować „zdrowy rozwój" przedsiębiorstw platformowych. To one mają odegrać główną rolę w stabilizacji zatrudnienia.

Jesienią przyszłego roku odbędzie się 20. zjazd Komunistycznej Partii Chin (CPC). Radzie Państwowej zależy więc, by władze lokalne ustabilizowały gospodarkę w drugiej połowie roku i utrzymały wzrost w „rozsądnym zakresie".

Źródło: El Economista

Pięć lekcji z konfliktu w Ukrainie według Sekretarz Armii USA Christine

Inwazja Rosji na Ukrainę dostarczyła dowódcom armii USA kilku lekcji na temat przyszłości działań wojennych. Jak twierdzi najwyższy cywilną rangą pracownik wojska, dotyczy to zarówno sposobu dowodzenia, jak i ochrony żołnierzy przed bezzałogowymi statkami powietrznymi i niezabezpieczoną komunikacją

„Codziennie przyglądamy się temu, co dzieje się na Ukrainie. Obserwujemy co u rosyjskich wojskowych i staramy się wyciągnąć jak najwięcej wniosków z tego, co naszym zdaniem oznacza to dla armii w przyszłości" – powiedziała Christine Wormuth.

Według dowódców amerykańskich konflikt wymagał ogromnego wysiłku modernizacyjnego obejmującego szeroki zakres sprzętu od helikopterów po bezpieczną łączność. Pojawiły się też pytania o możliwość stałej obecności amerykańskich żołnierzy w Europie w celu dalszego odstraszania Rosji. Podczas przemowy na Forum Rady Atlantyckiej Christine Wormuth potwierdziła, że rozmowy są w toku.

„Sednem dyskusji jest to, jaki jest najlepszy i najskuteczniejszy sposób odstraszania. Myślę, że gdy znajdziemy się po drugiej stronie tego konfliktu, zaobserwujemy wzmocnienie naszej pozycji" – powiedziała.

Wormuth zwróciła też uwagę na pięć głównych obszarów, z których wyciągnięto najważniejsze wnioski.

Przywództwo w walce to kluczowy czynnik decydujący o zwycięstwie

Znaczenie przywództwa na polu walki

Porażki wojsk rosyjskich podkreślają znaczenie przywództwa, szkolenia i dyscypliny. W armii rosyjskiej brakuje silnego korpusu podoficerów, jak ci, którzy pełnią ważną funkcję w siłach amerykańskich. Dodatkowo wielu żołnierzy walczących na Ukrainie to słabo wyszkoleni poborowi. Drogą do sukcesu jest znalezienie wspólnej płaszczyzny porozumienia między dążeniem rządu USA do wprowadzenia systemu MOSA a motywacją przemysłu do modyfikacji obecnych zależności biznesowych.

„Myślę, że okrucieństwa wobec cywili, których dopuszczają się niektórzy z rosyjskich wojskowych, wynikają bezpośrednio z braku szkolenia przywódczego i dyscypliny w ich szeregach" – zauważa pełniąca funkcję sekretarza armii Wormuth. W jej mniemaniu to podoficerowie stanowią kręgosłup armii, a ich znacząca rola w amerykańskich wojskach daje Stanom Zjednoczonym dużą przewagę.

Rosyjskie dowództwo ma też duże trudności z przekazywaniem zadań na polu walki oficerom niższego szczebla. Prowadzi to do taktycznego paraliżu i jest groźne dla ich życia. Doniesienia wskazują, że do tej pory zginęło na Ukrainie 12 rosyjskich generałów. Powodem było m.in. to, że dowodzili oddziałami znajdującymi się zbyt blisko linii frontu. Wormuth powiedziała, że delegowanie zadań to „mocna strona" armii USA.

Logistyka

Przez cały czas trwania konfliktu rosyjskie wojsko miało problemy z przemieszczaniem sprzętu na polu walki. I to mimo faktu, że Ukraina znajduje się na zachodniej granicy Rosji. Wormuth uznała to za znaczące i zaskakujące niedociągnięcie. W armii USA logistyka jest mocną stroną i będzie niewątpliwie kluczowym czynnikiem w potencjalnym przyszłym konflikcie. Szczególnie dużą rolę odegra na dużych dystansach Indo-Pacyfiku.

„To jeden z powodów, dla których inwestujemy w modernizację statków. Pozwoli to nam przemieszczać zaopatrzenie i personel w całym rejonie pacyficznym, mimo jego wielkości" – powiedziała.

Niebezpieczeństwo związane z łącznością

Komunikacja to kolejny błąd, który popełniają Rosjanie. Żołnierze używają własnych telefonów komórkowych, co daje przeciwnikowi możliwość ich namierzenia.

Armia, a zwłaszcza jej zespół ds. Sieci, w ramach modernizacji pracowała przez ostatnie lata nad maskowaniem sygnałów elektronicznych pochodzących ze stanowisk dowodzenia. Stosowane są też różne, nowoczesne narzędzia sieciowe, które mają zmniejszyć zdolność wroga do lokalizowania wojsk przy pomocy urządzeń elektromagnetycznych. Wormuth uważa, że Rosja pokazała, jak jest to istotne. Jak powiedziała: „Będziemy musieli zastanowić się, w jaki sposób maksymalnie ograniczyć sygnatury naszych formacji na polu walki, ponieważ w przyszłości będzie one bardzo przejrzyste". Armia powinna też wziąć pod uwagę wszechobecność telefonów komórkowych wśród żołnierzy. „Będziemy musieli się nad tym zastanowić, bo większość naszych młodych żołnierzy przyzwyczaiła się, że wszędzie ma przy sobie telefon" – przyznała Christine Wormuth.

Obrona przed dronami

W trakcie wojny w Ukrainie bezzałogowe systemy udowodniły swoją skuteczność do rozpoznawania terenu, ataków kinetycznych i naprowadzanie artylerii. Siły ukraińskie bardzo skutecznie wykorzystują zwłaszcza turecki Bayraktar TB2, który sprawdził się w rażeniu rosyjskich wojsk pancernych. Armia USA już od dawna zwraca uwagę na zagrożenia związane z dronami. W trakcie konfliktu o Górski Karabach między Armenią a Azerbejdżanem. Gen. James McConville, szef sztabu armii, przyrównał drony do improwizowanych ładunków wybuchowych, które zabijały amerykańskich żołnierzy w Iraku i Afganistanie.

„Drony i inne systemy bezzałogowe będą stanowiły dla nas poważne wyzwanie. Dlatego modernizujemy nasze systemy obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej".

Odpowiednie zapasy amunicji

Od początku konfliktu armia amerykańska wysłała na Ukrainę broń o wartości miliardów dolarów, taką jak Javeliny i Stingery. Dowódcy cały czas zajmują się uzupełnianiem zapasów amunicji, zwłaszcza przeciwczołgowej i przeciwlotniczej.

„Ukraina podkreśla, jak ważne jest utrzymanie naszej bazy przemysłowej i zapasów amunicji" – powiedziała Wormuth. „Będzie to niezwykle istotne, zwłaszcza jeśli konflikt się przedłuży" – dodała.

Dwa tygodnie temu Pentagon przyznał spółce Lockheed-Raytheon kontrakt o wartości 309 mln dol. na uzupełnienie amerykańskich zapasów Javelinów. Przyznano też firmie Raytheon 625 mln dol. na zastąpienie Stingerów.

„Rozmawiamy również z przemysłem w szerszym zakresie o tym, co możemy zrobić, aby zgromadzić zapasy niektórych elementów o dłuższym okresie przydatności do użycia. Mogą one w przyszłości zostać użyte w amunicji o krytycznym znaczeniu" – podsumowała Wormuth.

Źródło: Breaking Defense

NOWY ŚWIAT 24
Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów
17 czerwca 2022 - Warszawa – Polska *www.nowyswiat24.com.pl* *Numer 9(21)/2022*

Świat musi odpowiedzieć na blokadę Morza Czarnego

Gdy myślimy o wojnie na Ukrainie, zwykle mamy przed oczami czołgi i zbombardowane miasta. Musimy jednak pamiętać, że Rosja prowadzi tę wojnę również na morzu, na co wskazują także ostatnie przesunięcia działań na południe i wschód – przypomina „Nikkei Asia"

Do tej pory docierały do nas tylko pojedyncze wydarzenia morskie, takie jak heroiczna walka o Wyspę Węży albo zatopienie rosyjskiego okrętu wojennego „Moskwa". Jednak, w miarę jak opór sił ukraińskich krzyżował plany rosyjskich wojsk lądowych, Putin wykorzystał swoją marynarkę wojenną, by zablokować Morze Czarne. Chodziło o odcięcie portów w okolicach Odessy od światowego łańcucha dostaw i dalsze osłabienie ukraińskiej gospodarki.

Ale konflikt o Morze Czarne nie jest już kolejnym aspektem rosyjsko-ukraińskiej wojny, teraz to także wyzwanie dla globalnego porządku morskiego, które wymaga światowej reakcji.

Ukraina jest ważnym dostawcą i dystrybutorem żywności. Organizacja Narodów Zjednoczonych szacuje, że kraj ten należy do piątki największych światowych eksporterów pszenicy. W 2021 r. 20 mln ton ukraińskiej pszenicy trafiło do 82 krajów świata.

W 2021 r. Ukraina była także największym eksporterem oleju słonecznikowego, drugim światowym eksporterem kukurydzy i istotnym dostawcą nawozów. Kraj ten ma kluczowe znaczenie w światowym rolnictwie i widać już konsekwencje ograniczenia ukraińskiego eksportu w wyniku wojny.

Pierwszą konsekwencją jest niezaspokojenie światowego popytu na żywność. Choć ukraińskie ministerstwo rolnictwa ogłosiło, że obecnie 20 mln ton zboża zalega w krajowych silosach, to nie ma, jak go wyprowadzić – a jest to ilość niemal równa ubiegłorocznemu eksportowi pszenicy z Ukrainy!

Problem polega na tym, że 90 proc. eksportu odbywało się przez Morze Czarne. I w tej chwili transport morski pozostaje jedyną opcją dla 20 mln ton, ponieważ takiej ilości nie da się przetransportować lądowo czy rzekami.

Druga konsekwencja to wzrost cen pszenicy na światowych rynkach. Zyskują na tym Rosjanie, ponieważ obok Ukrainy także oni eksportują dużo zboża, w związku z czym czerpią korzyści z wywołanego kryzysu żywnościowego.

Prowadzi nas to do trzeciej, bardzo poważnej konsekwencji: braku bezpieczeństwa żywnościowego, który jest destabilizujący politycznie.

Zatem zablokowanie Morza Czarnego przez Rosjan powinniśmy postrzegać nie jako zwykłą agresję na Ukrainę, ale świadome spowodowanie globalnego kryzysu żywnościowego. W największym stopniu dotknie on kraje rozwijające się lub państwa o słabych systemach politycznych – na przykład leżące w Azji, na Bliskim Wschodzie czy w Afryce.

Ukraińscy producenci żywności mają jeszcze tylko 2 miesiące na zaplanowanie przyszłorocznych zbiorów. Jeśli nie uda się do tego czasu rozwiązać problemu z blokadą, jej skutki mogą być dalekosiężne. Jednak rozwiązanie tego problemu nie będzie łatwe.

Zastanawiając się nad możliwością przerwania blokady, trzeba wziąć pod uwagę rosyjskie operacje neutralizacji Mariupola w celu wsparcia żeglugi na Morzu Azowskim, ukraińskie ataki na rosyjskie pozycje na Wyspie Węży oraz zaminowanie terenów portowych dokoła Odessy, które uniemożliwia Rosjanom przeprowadzenie tam ataków amfibijnych.

Jeszcze na początku marca tego roku Międzynarodowa Organizacja Morska (IMO) namawiała do stworzenia niebieskiego bezpiecznego korytarza morskiego. Umożliwiałby on ewakuację marynarzy i statków z obszarów wysokiego ryzyka, pozwoliłby także na przepływ statków handlowych.

Co prawda Rosja poinformowała o stworzeniu korytarza humanitarnego, jednak bezpieczeństwo żeglugi jest kwestionowane – zgłaszano między innymi obecność swobodnie pływających min morskich oraz rosyjskich okrętów wojennych. Rosja nie chce też zagwarantować, że nie skorzysta z otwarcia ukraińskich portów. Sytuacja jest patowa, w związku z czym ani armatorzy, ani firmy ubezpieczeniowe nie chcą podejmować ryzyka.

Jeśli nic się nie zmieni, grozi nam globalny kryzys humanitarny spowodowany niedoborem żywności. Pomysł korytarza, jaki zaproponowało IMO, to dobry krok ku rozwiązaniu, który powinien zyskać wstawiennictwo ONZ. Za kluczowego gracza trzeba także uznać Turcję, ze względu na cieśninę Bosfor, która umożliwia dostęp do Morza Czarnego.

Rozminowanie korytarza i eskortowanie konwojów z żywnością może odegnać zagrożenie bezpieczeństwa żywnościowego, zwłaszcza w najbardziej narażonych krajach. Wprowadzenie takiego korytarza w środku wojny może być trudne, ale jego wsparcie przez międzynarodowe porozumienie nie powinno już być tak trudne.

Inicjatywę mogłoby tu przejąć także NATO, a w każdym razie europejska część NATO – z Francją i Wielką Brytanią na czele (także ze względu na ich doświadczenie i odpowiednie struktury dowodzenia). W rozminowywaniu mogłaby pomóc także Japonia, która ma potrzebne wyposażenie i doświadczenie. Zresztą udział Japonii podkreśliłby także wspólnotowy wysiłek.

Międzynarodowa społeczność musi zacząć działać, ponieważ obecna blokada nie jest już tylko operacją wojskową wymierzoną w Ukrainę, ale tworzy globalny kryzys.

Źródło: Asia Nikkei